

# CRACOVIA LEOPOLIS

KWARTALNIK

ISSN 1234-8600



# 2

(62) 2010

---

Apel do Przyjaciół ♦ O podtrzymywaniu świadomości  
narodowej pod zaborami ♦ Wspomnienia o czasach,  
miejscach i ludziach ♦ Tamten Lwów ♦ Opowiadanie  
J. Parandowskiego ♦ Rozmowa z Adaśkiem Żurawskim  
♦ Wiersze ♦ Proza ♦ Słownik ♦ Książki ♦ Kultura

---

---

## APEL DO PRZYJACIÓŁ

Czytelnicy pamiętają zapewne, że w poprzednim numerze, w tym samym miejscu, obiecaliśmy kontynuować rozważania na temat sposobu upamiętnienia wielowiekowej historii, kultury i ludzi naszych Kresów Wschodnich oraz wyboru najlepszej formy realizacji tego upamiętnienia. Wiązało się to z niedawnym zjazdem w Pułtusku, o którym pisaliśmy.

Tak się jednak składa, że w bieżącym numerze musimy ten wątek przerwać – z dwóch powodów. Pierwszy: zjazd w Pułtusku wiązał się ze śp. Maciejem Płażyńskim... Drugi: pojawia się inny, dotkliwy (choć bardziej przyziemny) wątek, który domaga się jakiejś reakcji.

\* \* \*

Oto kryzys (którego miało nie być!) dał o sobie znać także w dziedzinie kultury, a więc i wydawnictw – takich jak nasze pismo. Mamy wspaniałego Sponsora – Wydział Kultury i Dziedzictwa Narodowego Urzędu Miasta Krakowa, który od lat udziela nam dotacji na kwartalnik „Cracovia–Leopolis”, ale cóż – żyjemy w określonym czasie i sytuacji. Zmniejszenie dotacji, jakie i nas dotknęło, było koniecznością, dobrze to rozumiemy.

Co to dla nas oznacza? Oznacza dość drastyczne zmniejszenie objętości tegorocznych (mamy nadzieję, że tylko tegorocznych!) numerów CL. A więc przede wszystkim ograniczenie liczby artykułów, które stanowią jądro i sens każdego numeru: o wschodniomałopolskich miastach i okolicach, o ich dziejach i kulturze, o wspaniałych ludziach i rodzinach dawnej i nowszej historii. A z drugiej strony ograniczenie wiadomości z tamtej i z tej strony kordonu, o życiu naszych Rodaków, o sprawach ich bytu i perspektywach, o kulturze.

\* \* \*

Wszystko to sprawia, że ośmielamy się zwrócić do naszych Wiernych Czytelników – tych, którzy mają takie możliwości – o jakąś doraźną pomoc finansową. O nadsyłanie niewielkich bodaj datków (grosz do grosza...), które pozwoliłyby bodaj w części na „załatwienie dziury”: aby nasze numery nie schodziły z pewnego sensownego poziomu objętości.

O ile Państwo będą mogli i zechcą pomóc, każdy datek zostanie odnotowany na liście, którą zamieścimy w kolejnym numerze CL. Datki prosimy nadsyłać:

- przekazem pocztowym, na adres:  
**Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów PW, 31-111 Kraków,  
ul. Piłsudskiego 27**, z dopiskiem: *CRACOVIA-LEOPOLIS*
- na konto PKO Bank Polski 53 1020 2892 0000 5002 0121 7918, z dopiskiem jw.
- bezpośrednio gotówką w lokalu Oddziału.

Wszystkim potencjalnym Donatorom z góry serdeczne podziękowanie!

Redakcja

# POKOLENIA

*Ta Ziemia to moja Ojczyzna, to moja Matka  
– ten Naród to moi bracia i siostry.*

(słowa Ojca Świętego Jana Pawła II)

Co miałam na myśli stawiając taki tytuł? Wyraz *pokolenie* jest wieloznaczny i szeroki, zatem o jakie pokolenie chodzi? Należałoby zacząć od prastarych dziejów, na których przestrzeni zmieniały się pokolenia, a wraz z nimi historia Polski. Różnice pokoleniowe często doprowadzały kraj do poważnych konfliktów, a najlepszym dowodem, jak ogromna może być różnica pokoleniowa, to okres kilkudziesięciu lat, które interesują mnie najbardziej.

Moje pokolenie międzywojenne rosło i kształtowało się na zasadzie wolności i bezpieczeństwa we własnym kraju. Już od wczesnego dzieciństwa wiedzieliśmy, co oznacza słowo *Polska-Ojczyzna*. To nasze Matki wraz z pierwszą modlitwą przekazywały nam miłość do kraju ojczystego. Szkoła i Kościół wskazywały drogę właściwą, którą należało iść przez życie. Słowo *patriotyzm* było znane każdemu. W tym czasie państwo polskie rozwijało się w szybkim tempie, wypełniając lukę zaniedbań długich lat niewoli.

Wojna 1939 roku przekreśliła wszystkie plany i zamierzenia. Po napaści hitlerowskiej i inwazji sowieckiej kraj nasz został pogrążony w niewoli. Rozpętana wojna światowa, nieobliczalna w skutkach, dla Polski stała się klęską okupacji.

Młode pokolenie Polaków, wychowane w duchu patriotyzmu, natychmiast podjęło walkę podziemną z okupantami. Bohaterskie pokolenie nie знаło różnicy poglądów, wszyscy oddani byli jednej sprawie, która miała na imię Polska.

Czas zrobił swoje, Niemcy przegrali tę wojnę, doktryna faszystowska przestała istnieć, Europa odetchnęła.

Zdawało się, że po zakończeniu wojny wolna Polska rozpocznie nowe życie. Niestety nasz drugi okupant ze wschodu zagarnął część terytorium Polski, resztą pod pozorem wolności rządził w naszym kraju. Fakty świadczyły o tym, że żyjemy pod presją Moskwy.

Część społeczeństwa uległa naciskom lub propagandzie, wyznając bezsensowną ideologię komunizmu. Totalne rządy wprowadziły zamęt wśród społeczeństwa polskiego i w konsekwencji rozbiły na dwa obozy. Wprowadzona nowa teoria wychowawcza w szkołach poczyniła nieodwracalne szkody wśród najmłodszego pokolenia, które rosło w zakłamaniu i nieświadomości prawdziwej historii Polski.

Czy taka miała być przyszłość naszego Narodu? Kiedyś papież Jan Paweł II, będąc w Polsce z kolejną wizytą, mówił: *Ta Ziemia to moja Ojczyzna, to moja Matka, ten Naród to moi bracia i siostry*, ale ta niezwykła fascynacja osobą Ojca Świętego wkrótce minęła – czy dzisiaj możemy stwierdzić, że owe słowa Jana Pawła II są aktualne w naszym życiu?

Powiedzmy sobie prawdę: dziś, kiedy mamy wolną Polskę, jesteśmy społeczeństwem skłóconym bardziej niż kiedykolwiek, zagubionym, nie znającym wyjścia z tego labiryntu sprzeczności, wręcz nienawiści. Dokąd zajdziemy wyrzekając się własnej tożsamości, wyrzekając się wiary ojców? Czego możemy się spodziewać od następnych pokoleń, które rosną na naszych oczach w atmosferze bezładu, nieprawości, bezkarności? Różnica pokoleń ostatnich czasów jest zbyt bolesna, nie można jej zaakceptować, jeśli nie jest jeszcze zbyt późno.

O drogę prawdy zapytajmy tych, co jeszcze żyją wśród nas: bohaterów walki podziemnej z okupantami, Powstania Warszawskiego, potomków Obrony Lwowa. Oni noszą tę prawdę w sercach – jaka powinna być Polska. A tych, co bezmyślnie niszczą ład w kraju, których wciąż jeszcze prześladowają wizje totalitarnych rządów i złośliwi bakcyli drażnią dusze, zaprowadźmy na wszystkie mogiły rozsiane po polskiej ziemi. Może zrozumieją znaczenie słów Jana Pawła II, że Polska to nasza Ojczyzna.

Przemijały wieki i pokolenia, mówiło się, że były dobre lub złe, nie upadajmy więc na ducha, bo na naszej Ziemi oprócz chwastów wyrastały niezmiennie piękne polskie kwiaty...

Jarosław, 16 XI 2009

---

# ODESZLI

---

Zadajemy sobie pytanie, dlaczego spotkała nas ta kolejna tragedia? W jednej chwili zginęła ważna część elity Narodu, jego kwiat, poczynając od Prezydenta Państwa i ostatniego Prezydenta na uchodźstwie, poprzez niemal kompletne czołówki obu opozycyjnych partii politycznych, wybitnych działaczy państwowych i społecznych, głównych dowódców armii, wysokich duchownych, wielu ludzi kultury, aż po członków rodzin ofiar zbrodni stalinowskiej sprzed 70 lat. Wszyscy, którym teraz przyszło tak nagle oddać swoje życie, udawali się do Katynia, by – w sposób szczególny, w miejscu sowieckiego ludobójstwa, a zarazem miejscu symbolicznym – stanąć nad szczątkami ofiar i odmówić za nich modlitwę.

To, co się stało w Smoleńsku w sobotę 10 kwietnia 2010 roku, wiemy i zapamiętamy. Zapamiętamy, bo to sprawa naszego sumienia i obowiązku wobec ofiar smoleńskiej katastrofy. Ale zapamiętamy także dla-

tego, by istota tego tragicznego wydarzenia nie została zbagatelizowana i zmarnowana, a przeciwnie, by przyczyniła się do zachowania ładu w naszej Ojczyźnie. Tego ładu, o który walczyli ci, którzy w Katyniu nie przeżyli ani przed 70 laty, ani teraz.

\* \* \*

Wśród 96 ofiar katastrofy znalazły się osoby, z którymi mieliśmy szczególne kontakty. Są to przede wszystkim ci, którzy znając nasze pismo, zgodzili się na rozmowy o sprawach ważnych dla nich i dla nas, dla naszego środowiska: Andrzej Przewoźnik i Janusz Kurtyka. Obaj byli z urodzenia krakowianami, z wykształcenia historykami, ludźmi wysokiej kultury i chwalebnych osiągnięć. Obaj, zawodowo i emocjonalnie, byli zainteresowani najszerszą problematyką polskich Ziemi Wschodnich.

Ich odejście stwarza pustkę trudną do wypełnienia.

Od 1992 r. sekretarz generalny Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa, a więc instytucji, dla której nasze Ziemi Wschodnie musiały należeć do najważniejszych obszarów badań troski o zachowanie i popularyzację. Do Jego zadań należało m.in. prowadzenie niełatwych pertraktacji ze stroną rosyjską i ukraińską. Z tych zadań wywiązywał się w sposób niezwykle rzetelny, godny i twórczy. Wśród wielu najważniejszych prac, które ROPWiM pod Jego kierownictwem zrealizowała, były przede wszystkim miejsca kaźni w Katyniu, Miednoje, Charkowie i innych miejscach ludobójstwa sowieckiego, miejsca ludobójstwa ukraińskiego na Wołyniu, w Tarnopolskim, w Czarnym Lesie koło Stanisławowa i liczne inne, gdzie ginęli Polacy – w całej Europie, części Azji, Afryki. I najbliższa lwowskiemu sercu odbudowa Cmentarza Orłąt. Pełnił odpowiedzialne stanowiska i funkcje w wielu instytucjach, komisjach i organizacjach społecznych i kombatanckich.

Rozmowa z A. Przewoźnikiem znalazła się w CL 5/1998.





Od r. 2000 dyrektor Oddziału Instytutu Pamięci Narodowej w Krakowie; instytucję tę organizował od podstaw, tworząc najprężniej działający w Polsce oddział IPN. W r. 2005 został prezesem całego IPN, w Warszawie. Do jego głównych kierunków badań należały historia ruchu oporu Polaków wobec komunizmu oraz śledztwo w sprawie zbrodni katyńskiej, a także badania deportacji Polaków z obszaru Małopolski Wschodniej. Redagował kilka czasopism historycznych, wydał około 140 własnych publikacji naukowych o tematyce średniowiecznej i współczesnej, w tym kilka książek. W ostatnim okresie prowadzony przez J. Kurtykę Instytut stał się obiektem krytyki ze strony władz, co doprowadziło do niekorzystnych zmian w jego programie.

Rozmowa z J. Kurtyką znalazła się w CL 4/2000.

Osobą, z którą ostatnio również nawiązaliśmy kontakt, był Maciej Płażyński, po 1990 r. wojewoda gdański i marszałek Sejmu RP, od 2008 r. prezes Zarządu Krajowego Stowarzyszenia „Wspólnota Polska” (wcześniej, po 1990 r., wojewoda gdański i marszałek Sejmu RP). Jego intencją było m.in. doprowadzenie do powołania „Muzeum Kresów Wschodnich” (a wedle naszych propozycji *Instytutu Polskiego Dziedzictwa Historii i Kultury Kresów Wschodnich*) i w tym celu zorganizował w lutym br. spotkanie członków organizacji kresowych z całego kraju w Pułtusku. Pod Jego kierownictwem miał być opracowywany program takiej instytucji.

O M. Płażyńskim pisaliśmy w CL 4/08.



Maciej Płażyński 1958 Miłynary – 2010 Smoleńsk

***Chylimy czoło przed ofiarami obu tragedii katyńskich. Tej sprzed 70 lat i tej, którą przeżyliśmy w sobotę 10 kwietnia 2010 roku.***

### **Z ostatniej chwili**

Na opróżnione stanowisko Sekretarza Generalnego Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa w Warszawie został powołany znany historyk dr Andrzej Kunert.

Blizsze informacje zamieścimy w najbliższych numerach CL.

# NIE ODDAMY KOŚCIOŁA MARII MAGDALENY WE LWOWIE!

Decyzją Rady Miasta Lwowa z 11 marca 2010 r. kościół św. Marii Magdaleny został na 20 lat przekazany do dyspozycji sali muzyki organowej i kameralnej we Lwowie na zasadach nieodpłatnego wynajmu. Nie zostały uwzględnione potrzeby rzymskokatolickiej wspólnoty parafialnej i wieloletnie starania o zwrot lub korzystanie na równoprawnych warunkach z jej prawowitej własności.

Od roku 2001 w kościele św. Marii Magdaleny są odprawiane nabożeństwa. Centralne przejście do ołtarza jest zastawione ławkami, których nie można przesuwac, ponieważ niszczy to, zdaniem dyrekcji, posadzkę. Wspólnota nie może korzystać z centralnego wejścia do kościoła, które jest zamurowane. Parafia nie może korzystać z kościelnych organów. Po każdej mszy św. ksiądz wynosi z kościoła Najświętszy Sakrament do samochodu, by zapewnić go w bezpieczne miejsce. Zasadniczym punktem argumentacji władz w sporze ze wspólnotą parafialną jest znaczenie organów, znajdujących się w kościele, dla kulturalnego życia miasta.

Wypożyczenie kościoła – ołtarze boczne, obrazy, rzeźby, konfesjonały, kłęczniki, ławki

– przejęte zostały przez władze: częściowo zostały zniszczone, część stanowi wyposażenie muzeów. Baptysterium z freskami J.H. Rosena zamieniono na... toaletę, cenne freski zamalowano. Wieże kościelne pozbawiono krzyży, z przykościelnego placu usunięto figurę Matki Bożej. Jedyną pozostałością po dawnej świetności kościoła jest ołtarz główny i epitafia ze zniszczonymi elementami dekoracyjnymi.

**Uważamy, że decyzja Rady Miejskiej Lwowa, podjęta w czasie trwającego procesu sądowego, dotyczącego sprawy kościoła Marii Magdaleny, jest ze strony władz miasta próbą stworzenia faktów dokonanych.**

My, parafianie tego kościoła zwracamy się z apelem o poparcie naszych starań zmierzających do odzyskania odebranej nam świątyni i traktowanie nas według praw przysługujących wszystkim obywatelom demokratycznego państwa ukraińskiego.

Ks. Proboszcz i parafianie kościoła  
pw. św. Marii Magdaleny we Lwowie  
(łącznie 496 podpisów)

## O kościele św. Marii Magdaleny we Lwowie

Rzymskokatolicki kościół pw. św. Marii Magdaleny we Lwowie wybudowano w XVII wieku wg projektu Wojciecha Kielara i Jana Godnego. Fundatorką świątyni w r. 1600 (obecnie najstarszą część świątyni stanowi prezbiterium) była Anna Pstrokońska. Świątynię rozbudowano wg projektu Macieja Urbanika pod koniec wieku XVII przez zakon oo. Dominikanów. Dominikanie byli gospodarzami kościoła i klasztoru do momentu kasaty józefińskiej. W 1784 roku klasztor przeszedł na własność Państwowego Funduszu Religijnego. Fundusz odsprzedał zabudowania galicyjskiemu Funduszowi Policijnemu w roku 1841. W klasztorze urządzono dom poprawy i pracy przymusowej, później przekształcony na więzienie dla kobiet. Kościół natomiast oddano

do dyspozycji Archidiecezji Lwowskiej – pełnił funkcję kościoła parafialnego. Ponieważ gmachy klasztorne były zajęte przez władze austriackie, obok kościoła wybudowano plebanię.

Kościół pełnił funkcje sakralne do roku 1945. Po ekspatriacji duchowieństwa i wiernych ze Lwowa świątynia przez pewien czas była zamknięta. Otwarta ponownie w 1946 r., była czynna do października 1962 r. Kolejno posługę kapłańską sprawowali w kościele: ks. ppłk. Zygmunt Truszkowski (1876–1949), o. Marcin Karaś (1910–2003), o. Rafał Kiernicki (1912–1995), ks. prałat Zygmunt Hałuniewicz (1889–1974). W marcu 1962 ks. Hałuniewicz otrzymał zakaz celebrowania nabożeństw. Parafię udało się utrzymać do października tegoż roku. W świątyni przekazanej Politechnice Lwowskiej urządzono klub młodzieżowy, a następnie salę organową, funkcjonującą do chwili obecnej.

Andrzej M. Olszewski

## Problemy podtrzymywania świadomości narodowej w stolicy Galicji

Pamięci

prof. dra Mieczysława Gębarowicza

Odrodzenie narodowe i kulturalne w Polsce, po upadku za czasów królów saskich, zaczęło się już w okresie panowania Stanisława Augusta. Jednak z dużych miast polskich Lwów pierwszy, już w roku 1772, przeszedł pod obce panowanie i nie mógł przeżywać w pełni procesów regeneracyjnych epoki stanisławowskiej. Wprawdzie niedługo po dostaniu się miasta we władanie austriackie, bo w 1784 r., zorganizowano na podstawie dyplomu fundacyjnego Józefa II uniwersytet (mający zastąpić akademię założoną w roku 1661 przez Jana Kazimierza), lecz w praktyce miał on kształcić zdolnych urzędników austriackiej administracji państwowej. Spolszczony został dopiero od 1871 roku, więc krótko po otrzymaniu przez Galicję autonomii. Z innych przejawów epoki józefinizmu wymienić można utworzenie szkół niemieckich ludowych i nielicznych gimnazjów we Lwowie i w Przemysłu oraz kasację całego szeregu klasztorów.

Wy tłumaczenie polityki władz znaleźć można w tajnym piśmie austriackiej Komisji Dworskiej z 1791 r. Czytamy tam, że prawdziwy interes monarchii wymaga, by naród polski przekształcić w ludność niemiecką, że jego zwyczaje i sposób myślenia winny być zmienione; najpewniejszą gwarancją przeciw zamiarowi powrotu do państwa polskiego będzie wprowadzanie różnic w zachowaniu, narodowych zwyczajach i mowie między Galicją i Polską.

Przeciw postępowaniu zaborców budził się opór. I tak np. poza konieczną sferą stosunków unikano zetknięcia z nimi, posługiwania się językiem niemieckim oraz bojkotowano kontakty towarzyskie. Na Wydziale Teologicznym Uniwersytetu Austriacy popierali język cerkiewno-słowiański, jednakowoż ruscy księża musieli dla swych kleryków odbywać wykłady po polsku, bo tegoż ci ostatni używali. Już zresztą w 1774 roku Maria Teresa założyła seminarium dla

unitów w Wiedniu, a w 1783 r. powstało, dzięki Józefowi II, seminarium we Lwowie. Z kolei w 1787 r. powstało *Studium ruthenum* na uniwersytecie lwowskim. Można chyba w tej postawie władz austriackich widzieć odbicie starej zasady *divide et impera*. Natomiast Ormianie, stanowiący nieliczną już wówczas grupę, niemogącą być wygodną dla zaborcy przeciwwagą dla dominującego żywiołu polskiego, spotykali się z różnego rodzaju restrykcjami. Po Wiośnie Ludów rozpoczęto, dla walki z polskością miasta, popierać literacko jeszcze nie wykształcony język ruski, czyniąc go obowiązkowym w szkole średniej, podczas gdy polski był językiem nadobowiązkowym.

Nie mogąc rozwijać efektywnej działalności politycznej, bardziej światłe jednostki starają się pracować dla dobra kraju poprzez działalność na polu kultury narodowej, tworząc różnego rodzaju instytucje i podejmując inne inicjatywy. Na pierwszym miejscu należy tu postawić Józefa Maksymiliana Ossolińskiego, który po rozbiorach osiadł w Baden koło Wiednia i od roku 1793 gromadził różne druki i rękopisy, zwłaszcza odnoszące się do Polski. Zbiory swoje przewiózł w 1917 r. do Lwowa i w 1829 r. otworzył Zakład Narodowy im. Ossolińskich. Niemal jako symbol traktować można topograficzne umiejscowienie tej instytucji: u stóp góry Wronowskiej, na której później zaborcy wzniesli cytadelę, będącą widomym znakiem austriackiego panowania we Lwowie i w całej Galicji. Nie sposób tu przedstawić całokształtu działalności Ossolineum, warto jednak wspomnieć parę przynajmniej dokonań: nową sześciotomową edycję słownika Lindego, podstawowe wydawnictwa źródłowe *Monumenta Poloniae*, gramatykę Małeckiego. Już tylko te pozycje świadczą dowodnie o znaczeniu jednego tylko, bo wydawniczego, nurtu zainteresowań Zakładu dziejami i językiem narodu i o tworzeniu podstaw do pracy naukowej w tym kierunku.

Książę Henryk Lubomirski, idąc za namową Ossolińskiego, zdeklarował się



Maksymilian Ossoliński

w 1823 roku wcielić do Ossolineum, jako odrębną całość, swoje przeworskie zbiory narodowych pamiątek i dzieł sztuki. Lecz dopiero jego syn Jerzy w roku 1870 przeniósł kolekcję do Lwowa, po czym we wschodnim skrzydle Zakładu utworzono Muzeum im. Lubomirskich.

Działalność Ossolineum nie przebiegała bynajmniej bez wstrząsów, powodowanych ingerencją władz austriackich w wewnętrzne sprawy instytucji i w zakres jej działalności wydawniczej. I zresztą nie bardzo można się dziwić, że przy założeniu zaborcy – unifikacji wcieloonej do cesarstwa prowincji – niektóre przynajmniej poczynania Zakładu Narodowego (zaszczyconego wprawdzie opieką Najjaśniejszego Pana) żadną miarą nie mogły uzyskać aprobaty Austriaków. Przykładem niech będzie nielegalna wytwórczość litograficzna Ossolineum, jak np. *Pieśni patriotyczne z czasów rewolucji polskiej 1830 z muzyką na fortepian i gitarę*. Zaanonsowane miejsce wydania – Lipsk – jest fikcyjne, nie podano też firmy wydawniczej. Litografia przy drukarni Ossolineum powstała w 1832 roku, zamknięta została zarządzeniem policji w roku 1834. Jednak Zakład Narodowy wytrzymał wszelkie próby. Jak nieco patetycznie napisał Wasylewski: *Pogasły ogień Krzemieńca i Wilna, znicz ossoliński przetrwał i nie dał się zdmuchnąć*.

Inną godną wymienienia, lecz o mniejszym znaczeniu instytucją, była Biblioteka Pawlikowskich, dzieło Gwalberta Pawlikowskiego, właściciela Medyki, zbieracza druków i rękopisów, posiadacza kolekcji graficznej, obejmującej przedstawienie osobistości i scen historycznych, widoków miast, zabytków architektury. Zbiory medyczne w 1849 r. przewieziono do Lwowa, gdzie czasowo złożono je w klasztorze Dominikanów, a potem udostępniono w oficynie przy ul. 3 Maja. Dopiero w 1921 roku rodzina Pawlikowskich łączyła je z Ossolineum.

Teatr polski grywał we Lwowie niemal regularnie od 1770 r. Letni teatr w ogrodzie Jabłonowskich zbudował w 1796 r. Wojciech

Bogusławski. Natomiast za datę powstania stałej lwowskiej sceny polskiej, założonej przez jego ucznia Jana Niepomucena Kamińskiego, przyjąć można rok 1809. Kamiński działał we Lwowie 33 lata. W walce z zaborcą o teatr umiał on pozyskać sobie społeczeństwo. Lwowska komedia tych czasów posiadała największego ze swych twórców – Aleksandra Fredrę. Krytycy tego okresu okazywali wyraźne przywiązanie do teatru dydaktycznego. Przyjęcie programu dydaktycznego za Bogusławskim stanowiło obowiązek patriotyczny. Strój narodowy polski, dzieje ojczyste i aluzje polityczne znajdowały poparcie widowni lwowskiej.

Dla rozbudzenia świadomości narodowej w okresie zaborów nie bez racji wydaje się podsycenie zainteresowań zabytkami przeszłości, co znalazło swoisty wyraz w ekspozycjach Domu Gotyckiego w Puławach. Podobną rolę spełniała współczesna sztuka graficzna i malarska, przywołując na pamięć ważne dla dziejów ojczystych zdarzenia i postaci. To sięganie do przeszłości nie było zresztą w okresie romantyzmu cechą wyłącznie polską, lecz u nas, ze względu na brak niepodległego bytu państwowego, nabrało specyficznego charakteru. Rycina i obraz miały już na długo przed Matejką uczyć miłości ziemi i tradycji ojczystej, a przez przypominanie świetnej przeszłości budzić nadzieję na przyszłość, bowiem teksty z tej epoki tę służebną rolę sztuki ukazują nieraz całkiem wyraźnie.

**P**ewną rolę w podtrzymywaniu świadomości narodowej odgrywała prasa. W latach 1792–98 wychodził we Lwowie „Dziennik Patriotycznych Polityków”, przemycający sporadycznie wiadomości polityczne. Stosowny dobór informacji aktualnych oraz artykułów o treści biograficznej, historycznej i gospodarczej powodował, że pismo było prężnym organem opinii patriotycznej. Natomiast po roku 1815 problematykę polityczną „wygnano” z łamów pism lwowskich. Przemijające zelżenie kursu dało się zauważyć w latach 1817 i 1828–29 w czasie wojny rosyjsko-tureckiej, gdy rząd austriacki liczył na pozyskanie opinii polskiej. Zezwolono wówczas na utworzenie Zakładu im. Ossolińskich i katedry języka polskiego na uniwersytecie lwowskim.

Od lat trzydziestych wychodziło we Lwowie pismo „Lwówianin przeznaczony krajo-



wym i użytecznym wiadomościom wydany w połączeniu prac miłośników nauk". Zamieszczało ono szereg artykułów, nieraz ilustrowanych rycinami, odnoszących się do zabytków sztuki na ziemiach polskich, a nie wyłącznie w samym Lwowie. I tak np. tom III z 1835 r. przynosi pracę K. Malczewskiego *Trembowla i jej okolice*, z ilustracją zamku. W tym samym roczniku zamieszczono artykuł *Katedra w Pradze czeskiej. Porównanie z krakowską*. Autor widzi uderzające podobieństwo obu kościołów, mianowicie w *mnóstwie pomników historycznych czeskich, do zabytków polskich w katedrze krakowskiej*. Objawia się tu niejako wspólność uczucia tożsamości myśli i religijnej czci dwóch słowiańskich narodów ku grobom wielkich ludzi stanowiących sławę narodową u nas i u Czechów.

Jak rozumiano znaczenie dzieł sztuki dla narodu, objaśnić może cytata z artykułu *Obrazy znajdujące się w zakrystyi i nad zakrystyją przy archikatedrze lwowskiej Obr. Łacińskiego* („Lwowlanin” 1837, s. 68–9): *Nic bardziej nie objaśnia dziejów narodu jak powieści gminne, śpiewki, pomniki z drzewa, kamienia, marmuru, bronzu, płaskorzeźby itd., napisy po kościołach, starych zamkach, a osobliwie popiersia naszych przodków. Takie obrazy poświadczają prawdzie dziejów i służą najczęściej za ogniwo do łańcucha licznych, a częstokroć niezapisanych zdarzeń krajowych. Lecz nie dosyć na tym, że wyobrażają męstwo, cnoty, charakter i wady narodu, ale nawet wyobrażają nam postępowanie nauki malarskiej w Polsce.*

**W** okresie 1832–1848 Lwów staje się ważnym centrum polskiej konspiracji niepodległościowej. W pierwszych latach po upadku powstania listopadowego czynnik podsycający myśl wolnościową stanowili w Galicji byli powstańcy, ukrywani zarówno po dworach szlacheckich, jak i domach mieszczańskich. Znaleźli się wśród nich pisarze: Seweryn Goszczyński, Wincenty Pol, Lucjan Siemieński, August Bielowski. Z kolei załamanie się ruchów wolnościowych Wiosny Ludów było dużym ciosem dla kraju i Lwowa; symbolem tego w dziedzinie kultury może być zniszczenie zbiorów naukowych i biblioteki uniwersyteckiej. Dochodzimy tu do tego momentu historii, w którym warto wspomnieć zasłużonego lwowskiego krajo-

znawcę Antoniego Schneidra. Po powstaniu węgierskim (1848 r.) siedział w Kufsteinie, w celi z Telekim. Doszli oni do przekonania, że oprócz walki orężnej jest drugi jeszcze sposób służenia ojczyźnie, a mianowicie poprzez badanie jej przeszłości i zabytków. Schneider przedsięwziął wycieczki krajoznawcze, rozkopywał cmentarzyska, dokonywał wypraw na strychy antykwarskie i do handlów makulaturą, zakupywał akta. Opracował przewodnik historyczny po Lwowie (1871), drukowany u Pillera, wydał dwa tomy *Encyklopedii do krajoznawstwa Galicji* i zostawił po sobie bogate zbiory materiałów historycznych.

**C**oraz większą rolę w uświadamianiu sobie narodowej przeszłości, a nieraz i współczesności zaczyna odgrywać malarstwo. Artur Grottger we Lwowie uczył się rysunków i malarstwa u J. Maszkowskiego i J. Kosaka i tu pod kierunkiem pierwszego z nich namalował około roku 1850 pierwszą kompozycję olejną: *Wjazd Bolesława Chrobrego do Kijowa*. Jego prace były wystawiane we Lwowie od 1851 r. Ważniejsze zbiorowe pokazy dzieł artysty miały miejsce m.in. we Lwowie w latach 1870, 1885, 1894, 1906, 1962. W roku 1866 we Lwowie i w Krakowie pokazano 6 kartonów *Lituanii*, a więc było to już nie sięganie do przeszłości oręża polskiego, lecz ukazanie zdarzeń niemal współczesnych. Natomiast paradoksem jest, jak zauważył M. Porębski, że Grottgerowska *Polska* w kraju właściwie nie była znana i w Polsce znalazła się dopiero w 1938 roku.

Właśnie Lwów – poza Krakowem oczywiście – był miastem chyba najsilniej związanym z Matejką. W roku 1869, pod wrażeniem wystawionego wtedy obrazu Unii Lubelskiej, przyznał artyście oby-



Wojciech Bogusławski



Jan Nepomucen Kamiński



Artur Grottger, autoportret

watelstwo honorowe. Kilkakrotnie bywał on we Lwowie i warto zaznaczyć, że mimo tak przemożnie cechującego jego twórczość zaangażowania w dzieje narodu polskiego, cieszył się też poważaniem i uznaniem wśród Rusinów lwowskich, czego przykładem może być zaproszenie go na wystawę starożytności ruskich

przez prezesa Stauropigii Iz. Szaraniewicza. Ważnym wydarzeniem tego czasu było upamiętnienie namalowanego przez Mistrza Jana zdarzenia – Unii Lubelskiej – kopcem usypanym na wzniesieniu, na którym stał kiedyś Wysoki Zamek. Franciszek Smolka pisał: *Tego rodzaju pomnik odpowiada prastarej tradycji słowiańskiej ... zrośnie z życiem duchowym całego narodu, bo i najbiedniejszy miłujący ojczyznę równie jak i najbogatszy pracą rąk przyczyni się do tego dzieła... Piramidy Faraona runą, a kopiec nasz stać będzie niewzruszenie, głosząc pokoleniom szczytną zasadę bratniej miłości: równi z równymi, wolni z wolnymi.*

Ostatnie uwagi zdają się świadczyć o aktualności problemu słowianofilstwa, pojawiającego się w Galicji już wcześniej. W roku 1821 powstaje we Lwowie Towarzystwo Zwolenników Słowiańszczyzny, założone przez Ludwika Nabelaka, istniejące do początków lat czterdziestych XIX w. Nawiązało ono współpracę z badaczami czeskimi, słowackimi i serbskimi. W 1934 r. wychodzi we Lwowie literacki noworocznik „Ziewonia”, koło redakcji którego grupują się literaci, prędkiej czy później związani z Ossolineum: August Bielowski, Emil Korytko, Aleksander i Józef Borkowscy, Karol Szajnocha. Na wsie wschodniej Galicji udają się zbieracze pieśni ludu polskiego i ruskiego, jak Żegota Pauli, Michał Stanisław Głowacki, Michał Zaleski, Józef Łoziński.

Lata sześćdziesiąte XIX w. przynoszą polepszenie sytuacji ogólnej. Galicja wkracza w okres autonomii. Warto przypomnieć, że tzw. „dyplom październikowy” (20 X 1860) wydał Franciszek Józef za radą ministra

stanu hr. Agenora Gołuchowskiego, byłego namiestnika galicyjskiego. Właściwy czas przemian to przełom lat 1867 i 1868; ustrój konstytucyjny i decentralizacja władz prawodawczej i wykonawczej stworzyły warunki bardziej prawidłowego rozwoju narodu polskiego w ramach monarchii Habsburgów.

**W** 1871 r. następuje spolszczenie uniwersytetu lwowskiego, na którym w roku 1898 powstaje Instytut dla historii sztuki nowożytnej. Jeszcze przedtem, bo w 1868 r. założono Towarzystwo Przyjaciół Sztuk Pięknych, urządzające raz na rok wystawy w sali politechniki. W atmosferze działalności Ossolineum powstają w 1886 r. dwie instytucje: Polskie Towarzystwo Historyczne oraz Towarzystwo Literackie im. Adama Mickiewicza. W zakresie służby konserwatorskiej Galicja w roku 1873 została podzielona na okręgi: wschodni – lwowski oraz zachodni – krakowski. Konserwatorem lwowskim został Wojciech Dzieduszycki. Prowadził on restaurację licznych kościołów obu obrządków, odnowił też Towarzystwo Archeologiczne. Pisał również prace z zakresu historii sztuki. W 1894 r. został docentem, a w 1896 profesorem historii filozofii i estetyki. Jego imiennik, Maurycy Dzieduszycki, wydał w 1872 r. pracę o katedrze łacińskiej we Lwowie; we wstępie autor stwierdza, że naród mający wielką przeszłość, chcąc być poważanym przez innych, powinien pielęgnować rodzimego ducha i cenić oraz zachowywać zażytki swej przeszłości. Reskryptem z dnia 19 grudnia 1899 r. ck Namiestnictwo zatwierdziło statut Związku Polskich Artystów we Lwowie. Celem tego stowarzyszenia było m.in.:

*ochraniać interesa moralne i materialne sztuki polskiej, zastępować w kraju i zagranicą sprawy sztuki polskiej, a także organizować wystawy, odczyty, pogadanki naukowe z zakresu sztuki.* Założycielami związku byli zarówno architekci, jak też rzeźbiarze i malarze. I wreszcie w roku 1906 po-



Karol Szajnocha

wstaje we Lwowie Towarzystwo Miłośników Przeszłości, mające w programie opiekę nad zabytkami. Wśród spraw wiążących współczesną sztukę z przypomnianiem narodowej świetności wypada wspomnieć, że w 1883 r., a więc w 200. rocznicę odsieczy Wiednia, Rada Miasta Lwowa postanowiła wystawić pomnik głównemu bohaterowi tej bitwy, którego rodzina tak była związana ze Lwowem i jego okolicą: ojciec Jana III na „Sobieszczyźnie” miał dwór, w roku 1640 nabył kamienicę w Rynku, w roku 1642 ufundował kościół i klasztor Karmelitanek we Lwowie.

**P**rzeglądając ówczesne publikacje można odnieść wrażenie, że ważnym wydarzeniem w oczach piszących miała być Powszechna Wystawa Krajowa, urządzona w stolicy Galicji w 1894 r. A we wstępie do przewodnika po mieście i wystawie wyrażono nadzieję, że *zajmie ona chlubne miejsce w dziejach naszego starodawnego grodu*. Wystawa winna wskazywać drogi pracy nad zniweczeniem moralnej i materialnej „nędzy Galicji...”. *I dlatego oczekujemy w uroczystym nastroju ducha tej chwili, gdy uwaga całego narodu polskiego, tudzież jego przyjaciół i nieprzyjaciół zwróci się na miasto nasze*. Wystawa obrazowała różne domeny życia ówczesnej Galicji, mając też dział sztuk pięknych i architektury. Katalog działu sztuki informuje m.in. o dziełach treści patriotycznej, jak np. obraz Włodzimierza Szereszewskiego *Etap na Syberię*, rzeźba Leonardo Marconiego *Kościuszko* (projekt na pomnik) czy rysunek Stanisława Wyspiańskiego *Postać Polski* (fragment z witrażu przedstawiającego *Śluby Jana Kazimierza*).

W roku 1868, więc w początkach ery autonomicznej Galicji, zaczęła w jej stolicy wychodzić „Strzecha. Pismo ilustrowane dla rodzin polskich...”, nakładem księgarni J. H. Richtera. I tutaj, jak niegdyś w „Lwowianinie”, publikowano szereg zabytków sztuki, nieraz z patriotycznym komentarzem, jak choćby w artykule Lucjana Tatomira o dworku myśliwskim Jana III w Jaworowie w I roczniku: *Cała ziemia polska, jak daleko sięgają jej kresy, to jakoby wielka księga pisana ciosem i kielnią murarską, mieczem i krwią... Nasze strony, starodawna ziemia lacka, Ruś czerwona, to właśnie najobfitsza i najpiękniejsza karta tej księgi... taką ziemię ciągłych za-*

*pasów rycerskich... ukochali i bohaterscy królowie nasi*.

Dokonane powyżej wypunktowanie tylko niektórych instytucji, postaci oraz wypowiedzi, związanych z tworzącą się sztuką i kulturą, starało się wykazać, jak bardzo myśli i uczucia patriotyczne przenikały różne pola działalności kulturalnej tego tak bardzo długiego okresu zaboru austriackiego. Stolica Galicji jako siedziba szeregu instytucji centralnych tej prowincji kończącej się, wiekowej monarchii Habsburgów, miała lepsze niż inne ośrodki zaboru austriackiego warunki rozwoju – choć jako stolica miała też być lepiej pilnowana w dobie przedautonomicznego ucisku narodowościowego. Udało się jednak, choć nie bez strat, okres ten przetrwać, a istniejący do dziś, choć niestety na wygnaniu, Zakład Narodowy im. Ossolińskich jest największym chyba pomnikiem tej epoki. Czas po uzyskaniu autonomii został zaś dobrze wykorzystany dla moralnego zrywu narodowego od roku 1914 i budowy kultury narodowej w odrodzonej Polsce.

*Artykuł niniejszy jest skróconą wersją pracy, opublikowanej wraz przypisami w języku angielskim w „Seminariach Niedzickich” V, Kraków 1991.*

*Informacja od Redaktora CL: powyższy tekst otrzymałem w r. 1992 od Autora, mojego kolegi szkolnego i Przyjaciela z czasów lwowskich, wraz ze zgodą na jego wydrukowanie w „Semper Fidelis” 1/93 (byłem wówczas członkiem Kolegium Redakcyjnego SF). Obecnie, z okazji 80. rocznicy urodzin i 5. rocznicy śmierci śp. prof. dra Andrzeja Olszewskiego, pozwalam sobie przedstawić ten ciekawy i historycznie ważny artykuł – po 17 latach – po raz drugi.*

---

ANDRZEJ OLSZEWSKI (1930 Lwów – 2005 Kraków) – nekrolog i wspomnienia pośmiertne ukazały się w CL 2/05 i 1/06.

---



Wojciech Dzeduszycki

Adam Trojanowski

# Wsi spokojna

Wspomnienia serdeczne (1)

**D**o dworu, zwanego przez tutejszych folwarkiem, należało skręcić przed cerkwią. Była dosyć leciwa, drewniana, z dużą kopułą w kształcie „bani” nad główną częścią świątyni. Obok znajdowała się także drewniana, czworokątna u podstaw dzwonnica oraz niewykorzystywany wówczas budynek mieszkalny kościelny. Msze odbywały się w niej rzadko, a odprawiał je duchowny, przybywający z którejś z okolicznych miejscowości.

Do rozdroża docierało się szerokim, piaszczystym traktem, który ulegał systematycznemu rozszerzeniu kosztem poboczy, w poszukiwaniu przez furmanów twardszego gruntu. Na zapleczu cerkwi rozciągała się dosyć biednie wyglądająca wieś Kochanówka, wprost przed cerkwią zaczynała się zaś długa aleja lipowa. Na jej końcu widać było z daleka poziomy, biały prostokąt budynku dworskiego, a za nim sięgający ponad dach pióropusz wysokich drzew tamtejszego parku.

Do wspomnianego rozdroża można było przybywać traktem od strony Jaworowa, czyli ze wschodu, lub od Krakowca, a więc od zachodu. Jaworów był dogodnym punktem wyjściowym do Kochanówki dla mieszkańców Lwowa, odbywających podróż kolejną, tak jak ja z rodzicami. Przez Krakowiec przybywali natomiast *nomen omen* „krakowiaczy”, jak moi dziadkowie, którzy z pociągu na linii kolejowej Kraków–Lwów korzystali z przystanku PKP w miejscowości Podgacie koło Mościsk.

Dalsza jazda do Kochanówki odbywała się zarówno z Jaworowa, jak i odległych Podgaci pojazdem dworskim. Z Jaworowa należało pokonać ok. 15 km piaszczystego traktu przez Czernilawę oraz Huki, natomiast z Podgaci bez mała 30 km, przez wspomniany Krakowiec. Do obu wyjściowych miejscowości można było dotrzeć także rozklekotanym autobusem żydowskim, odchodzącym z placu Strzeleckiego we Lwowie. Notabene nigdy z niego nie korzystaliśmy.

Jaworów był niewielkim miastem, niemniej stanowił stolicę powiatu, gdzie w latach 30. starostą był mój wuj ze strony ojca, dr Kazimierz Sługocki. Przez ok. 40 lat miejscowość ta była ulubionym miejscem pobytu króla Jana. Oprócz opowieści na ten temat nie pozostał tam trwały ślad jego pobytu.

Jazda koleją do Jaworowa trwała ok. 3 godzin, choć był odległy tylko ok. 60 km. Wynikało to z faktu, iż około połowę drogi, bo aż do Janowa tor kolejowy przebiegał gościńcem. Był on blokowany oczywiście życiem wiejskim, do leżenia była w pozycji trawiennej wprost na torze – włącznie. Pociąg zwalniał, stawał, ploszył zwierzęta i ostrzegał ludność czystem gwizdem lokomotywy. Dalsza droga wiodła przez piękne lasy, sięgające do Janowa poprzez Starzyńska aż do Cetuli. Potem zaczynały się już łąki oraz pola uprawne, aż do stacji kolejowej w Jaworowie, odległej od miasta ok. 3 km. Tam czekał wcześniej zamawiany powóz dworski. Jazda do Kochanówki była ciężka, koła brnęły w głębokim, przesypanych się pomiędzy szprychami piasku. Przebiegała cicho i sennie, przerywana doraźnie uderzeniami orczyków o dyszel i pobrzękiwaniem łańcuchów uprząży lub parsaniem koni. Po drodze przeprawiano się bez mostu przez niewielką rzeczkę, gdzie odbywało się tradycyjnie pojenie koni.

Pojazd docierał wreszcie do wsi Kochanówka, mijając kilka tamtejszych chałup na skraju wsi oraz murowany, niski budynek karczmy prowadzonej przez Żyda, tamtejszego handlarza gęsi, zwanego przeto Husiarem. Potem skręcało się w aleję, prowadzącą wprost do dworu. Jazda od Krakowca przebiegała także piaszczystym traktem przez Rudę Krakowiecką i Rudę Kochanowską, pozostawiając z boku polską wieś Świdnicę. Z prawej strony, jadąc częściowo przez las, mijano się duże gminne pastwisko o nazwie Żukanka, z lewej zaś tamtejszy cmentarz. Nieco dalej odchodziła w lewo wąska droga, prowadząca na wzniesienie zwane Wilczą Górą. Z tej strony nie było żadnej zabudowy wiejskiej.

Wspomniana aleja lipowa miała ok. 200 m długości, a jadąc nią mijano się po prawej stronie czworaki dworskie, gdzie mieszkał tamtejszy Żyd, a mianowicie pachciarz, z córką Surą, towarzyszką moich późniejszych zabaw. Skupował od dworu mleko do

dalszej przeróbki i rozprowadzania. Potem były jeszcze dwa stawy. Z prawej strony płytki i zamulony, z lewej zaś głęboki, zawsze w cieniu grupy potężnych topoli. Wreszcie była brama wjazdowa, zwieńczona jakąś drewnianą nadbudówką i – drogą okrężną wokół gazonu z klombem w środku i grupami krzewów bzu – podjeżdżało się przed parterowy budynek dworski. Jego centralna część miała postać zadaszanej werandy wspartej na czworokątnych słupach, wysuniętej nieco przed front zasadniczego budynku. Także obydwie skrajne części budynku były nieco wysunięte w stosunku do części centralnej. Całość była wyprawiona białą zaprawą i pokryta blaszanym dachem.

**D**wór w Kochanówce pochodził prawdopodobnie z końca XVIII w. i należał niegdyś wraz z całym majątkiem do rodziny Cywińskich herbu Puchała. Na zasadzie kupna przeszedł w ręce rodziny Rozwadowskich herbu Trąby, z której Władysław był tam właścicielem stadniny koni arabskich, szczególnie cenionej we wschodniej Galicji. Jako wybitny hodowca tych koni został nawet mianowany przez cesarza Franciszka Józefa koniuszym dworu. Rodzina ta przechowywała we dworze wiele cennych mebli i dzieł sztuki, a także portrety rodzinne, nawet z XVI w. Zbiory Rozwadowskich odziedziczyła córka Władysława, po mężu Orzechowiczowa, i zostały włączone do lwowskiego muzeum pod nazwą „Zbiory Bolesława Orzechowicza”. Jako dziecko prowadził mnie tam ojciec, dbający zawsze o wszelką znajomość miasta. Majątek Kochanówka kupił od córek Rozwadowskiego Antoni Łodzian Lachowicz i przetrwał on w rękach tej rodziny do września 1939 r. jako fundacja.

Powierzchnia terenów rolniczo-leśnych majątku wynosiła prawie 500 ha słabej jakości gruntów piaszczystych. Ostatnim jego właścicielem był jaworowski aptekarz z rodziny Lachowiczów. Zmarł tragicznie wkrótce przed wojną w pożarze drewnianej „wygódki”, zapalonej od świeczki.

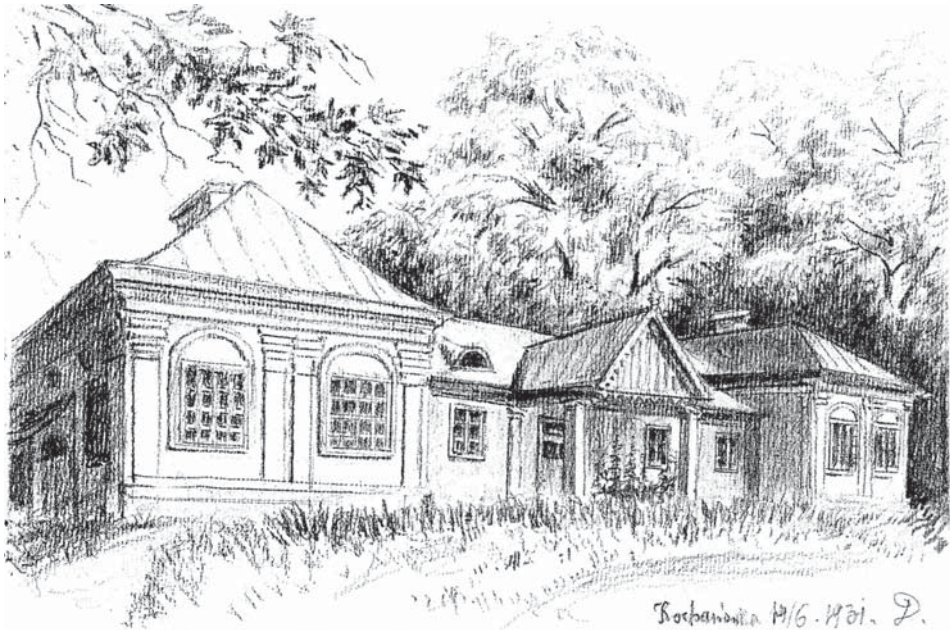
Od niego dzierżawił majątek mój wuj, Ludwik Żurowski, przeniósłszy się do Kochanówki z dzierżawionego uprzednio majątku w Honiatyczach, bodajże w okolicach Radymna, w latach 20. Miał ukończoną Krajową Szkołę Rolniczą w Czernichowie

i dysponował dużą praktyką w gospodarzeniu na roli.

Wuj był mężem jednej z rozlicznych córek mojego pradziadka Ludwika Nowakowskiego, weterana Powstania Styczniowego, Elżbiety, zwanej rodzinnie Ela. Była rodzoną siostrą mojej babki Anieli Dąbrowieckiej, żony generała dyw. Eugeniusza Dąbrowieckiego. Wuj miał wielu braci, a matka ich Róża mieszkała we Lwowie na Kwiatkówce przy swojej córce, po mężu Skornowej. Żurowscy mieli przesłanki, by „pieczętować” się herbem Leliwa, ale nigdy z tego praktycznie nie korzystali. Podobnie było z naszym herbem rodzowym Szeliga. Tradycje rodzinne były u nas podtrzymywane, szczególnie te patriotyczne. Za najważniejsze uważano i uczono młodych być społecznie sprawiedliwym i krajowi przydatnym. Skutkiem mnogiej ilości córek mojego pradziadka Ludwika Nowakowskiego znalazłem się poprzez ich mężów w rodzinnych więzach z rodami Chwalibogowskich, Piotrowskich, Niementowskich, Butrymowiczów oraz Świątkiewiczów. Także u nich można by się dopatrywać herbów, jeśliby ktoś tego chciał. Ważniejsza była w naszej rodzinie świadomość, ilu i kto z tych rodzin był u Poniatowskiego, Chłopickiego, Traugutta, Piłsudskiego oraz Andersa, służąc bronią Polsce. A na to są dokumenty i nie trzeba się niczego innego dopatrywać.

W latach 30., kiedy bywałem z rodziną gościem w Kochanówce, wuj Ludwik miał ok. 50 lat. Z cicią Ela miał troje dzieci, wtedy już dorosłych. Najstarsza Zosia, ładna szczupła blondynka o typowej polskiej urodzie, przebywała stale z rodzicami na wsi. Prowadziła „swój” ogród jarzynowy i hodowała z sukcesem różne kwiaty ozdobne, którymi obsadzała dworskie tereny, a więc klomb na gazonie oraz przestrzeń od strony parku.

Zbyszek przebywał jako uczeń gimnazjum w Zakładzie oo. Jezuitów w Chyrowie. Maturę zdał we Lwowie przy dużej pomocy mego ojca, mieszkając przez jakiś czas u nas przy ul. Tarnowskiego, na tzw. stacji. Po niezbyt udanym wejściu na tzw. „Lasówkę” spełniły się jego marzenia i ukończył Centrum Wyszkozenia Kawalerii w Grudziądzu. Jako zawodowy podporucznik otrzymał służbę w 14 Pułku Ułanów Jazłowieckich we Lwowie. Był całą duszą



z nią związany, kontynuując w ten sposób swoje ulubione jeździectwo, które uprawiał jako młodzieniec w Kochanówce na swoim pięknym koniu arabskim Erosie. Skutkiem epidemii nosaczyny ten wyjątkowo wspaniały żelazny szpak, bo tak się ta maść końska zwała, został profilaktycznie zastrzelony. Zbyszek był bardzo związany z moją rodziną, a dla mnie stanowił jako zawodowy oficer kawalerii wzór męskiego sukcesu. Mój ojciec, obserwując moje szkolne problemy w sposób sceptyczny, twierdził z pewną przesadą, że nie mogąc służyć ojczyźnie głową mam szansę służyć jej siedzeniem, idąc do kawalerii. Taka perspektywa mnie osobiście wcale nie martwiła.

Najmłodsza, bardzo ładna brunetka Krystyna, uczęszczała we Lwowie do gimnazjum, będąc na pensji u SS. Felicjanek. Zachorowała na gruźlicę i była leczona w sanatorium zakopiańskim oraz w Hołosku pod Lwowem. Niestety uległa chorobie, która w tamtych czasach zbierała żniwo nie tylko wśród najbiedniejszych, lecz o dziwo, nawet wśród arystokracji. Jej narzeczony, zawodowy podporucznik artylerii, Zbyszek Zasławski, poruszony rozpaczą prosił po śmierci ukochanej Krysi o przeniesienie do lotnictwa. Po ukończeniu odpowiedniego przeszkolenia został oficerem tejże broni jako obserwator, bo tak się ta funkcja wtedy w lotnictwie nazywała. Wkrótce przed wojną zginął tragicznie w 5 Pułku Lotniczym w Li-

dzie podczas katastrofy „Karasia” PZL-23, który spadł na tamtejszy szpital.

Dwór zamieszkiwali praktycznie tylko wujostwo z Zosią. Kiedy z początkiem lat 30. zaczęliśmy bywać podczas wakacji w Kochanówce, poznałem życie na wsi w tych wszystkich aspektach, które mogły cieszyć ciekawego wszystkiego podrostka. Spędzałem tam, aż do samej wojny, wiele wspaniałych tygodni, poznając wszelkie elementy pobytu na wsi przy absolutnej swobodzie, sprzyjającej cudownym przeżyciom. Bywałem tam z rodzicami podczas wakacji letnich, pamiętam także tamtejsze przeżycia podczas wiejskiej zimy.

Uczestniczyłem w wiosennych polowaniach na cietrzewie, a w lecie na dzikie kaczkę. Osobiście dysponowałem dworskim flobertem, z którego mogłem strzelać ostrymi *shortami* oraz *longami* do celu lub do tak „nieszlachetnego” obiektu jak wrony i kawki. To wszystko sprzyjało wspaniałym doznaniom podczas pobytów letnich, jak wyjazdy z wujem bryczką celem doglądania prac polnych, gonienia po gumnie i lasach, udział we wszystkich fazach sianokosów oraz żniw, do młocki z zastosowaniem zachwycającej lokomobili włącznie. Wszelkie maszyny i urządzenia rolnicze, wozy, pługi, kosiarki, grabarki, siewniki, kultywator i żniwiarki były mi dostępne, a do tego jeszcze porządki w stajniach, podglądanie podaju, karmienie koni, bydła i trzody chlewnej,

a więc niekończące się okazje cudownych wrażeń i przeżyć.

Pobyty zimowe łączyły się z jazdami dworskimi saniami, zwanymi „załubincami”, kiedy to konie rwały przez kopne śniegi, niosąc czarowny dźwięk „janczarów”. Innym wspaniałym przeżyciem była jazda saniami „bosymi”, kiedy konie pobrzękiwały pojedynczym dzwonkiem u dyszla. Były także polowania na zające, przy których występowałem dla polującego ojca w charakterze nagonki razem z rodzimym Dmytruniem. Wszystko to działo się przy absolutnej swobodzie, kiedy na wiele godzin znikalem z oczu rodziców lub opiekunów. Tak było tam bezpiecznie i na tyle miano do mnie zaufania. Były to niezapomniane czasy, kiedy to dopuszczono mnie do powożenia lub samodzielnej jazdy konnej. Wprawdzie butów z cholewami używał mi dobrotliwy wuj, musiałem je jednak wypychać słomą jako zbyt obszerne. Najważniejsza była możliwość oglądania świata z pozycji jeźdźca. O swój jeździecki, kombinowany doraźnie wybór dbałem szczególnie, kiedy wuj pozwalał mi jechać samotnie do Krakowca po odbiór poczty. Tam poznałem swego czasu Danusię, córkę tamtejszego adwokata Witemberskiego, która mnie oczywiście niezwykle zainteresowała. Było to tuż przed samą wojną, jakiś czas korespondowaliśmy ze sobą, ale później kontakt ustał i pewnie całą rodziną zajęli się skutecznie bolszewicy.

Ojciec mój przebywał w Kochanówce z wielką chęcią, wyszukując sobie przeróżne zajęcia, typowe dla wsi, pól i lasów. Szybko przekonał wujostwo, że takie pobyty ludzi z miasta można traktować pensjonatowo, jako tzw. obecnie agroturystykę. Dzięki namowom ojca Kochanówka stała się miejscem corocznego pobytu wakacyjnego moich dziadków, przybywających nie bez trudności z Krakowa. Udało się także namówić rodzinę krakowską Mohr-Skowrońskich. Tak więc za wspaniałe tamtejsze pobyty wujostwo otrzymywali odpowiedni przepływ gotówki.

**B**udynek dworski w części zachodniej był zamieszkiwany przez rodzinę Żurowskich, natomiast wschodnią część budynku zajmowali okresowo przyjezdni. W samym centrum przechodziło się z werandy do holu, a dalej na wprost znajdował się typowy sa-

lonik z wygodnymi fotelami, sofą oraz fortepianem. W letnie dni wszystkie drzwi, od werandy począwszy aż do wyjścia z saloniku na teren parku były otwarte na przestrzał, a orzeźwiający wietrzyk wydymał malowniczo lekkie firanki.

W tej części dworu znajdowała się także bardzo duża jadalnia, a dalej tzw. pokój dziewcząt, sypialnia wujostwa oraz pomieszczenie biurowe, nazywane kancelarią. Samą końcówkę zajmowała obszerna kuchnia oraz izba, gdzie żywiła się najbliższa służba. Niestety w całym dworze nie było bieżącej wody, łazienka była przeto prymitywna z archaiczną, porcelanową miednicą oraz miskami i wiadrami. Tzw. „wygódka” znajdowała się poza budynkiem dworu w drewnianej budce, nad którą zawsze gruchały sympatyczne gołębie. Była więc duża niewygodność, której nie uniknęła wtedy zdecydowana większość dworów.

Był także brak elektryczności i do oświetlenia służyły wyłącznie lampy naftowe. Miały piękne kształty, kolory, z mechanizmem umożliwiających ich podnoszenie i opuszczanie wedle potrzeby. W każdej z nich było kilka palników, a lampa w jadalni była prawdziwym cudem produkcji wiedeńskiej firmy Dittmar, posiadającej filię we Lwowie przy ul. Zyblikiewicza. Była wyposażona w palniki z okrągłymi knotami, zwanymi popularnie „Rundbrenner”, zapewniającymi szczególną jasność w pomieszczeniu. Fakt istnienia oświetlenia naftowego wymagał stałej pieczy o napełnianie zbiorników naftą, stan knotów oraz czystość szkieł. O to wszystko dbał z obowiązku dworski goniec Gryńko, który oprócz pełnienia dworskich czynności porządkowych maszerował codziennie, w lecie na bosaka, do Krakowca po pocztę i gazetę dla wuja. Właściwie był to jedyny sposób łączności ze światem, oczywiście oprócz okresowych, rzadkich wyjazdów do Krakowa lub Lwowa. W tzw. pokoju dziewcząt znajdował się aparat radiowy w potężnej skrzynce. Nie była to superheterodyna, skutkiem czego podczas strojenia z aparatu wydobywały się niezwykle wycia. Aparat był zasilany, wobec braku elektryczności, z akumulatora oraz dużej baterii, złożonej fabrycznie z wielu okrągłych baterijek, tych do lampek kieszonkowych. Dlaczego istniały dwa równoległe źródła elektryczności tego nie wiedziałem i do dziś nie wiem.

Cały dwór był opalany potężnymi piecami na drewno, które przyjemnie pachniało. We wspomnianej kuchni znajdował się bardzo duży piec, na którym gotowano nie tylko dla gospodarzy i gości, lecz także dla części stałych pracowników dworskich. Nie należeli do nich wszyscy fornale, kołodziej i kowal, rymarz, główny połowy oraz stróż nocny. W piecu tym były pieczone także chleby, z których najbardziej smakował nam wszystkim ciemny chleb razowy. Całą gospodarką domową kierowała ciocia Ela, mając jako kucharki dwie Marynki, z których jedna zwana była Czarną ze względu na jej ciemną karnację.

W izbie przeznaczonej dla służby ciocia Ela urządziła dla niej wieczór wigilijny. Nie pamiętam już wedle jakiego kalendarza. Podczas uroczystości najstarszy Wasyl nabrał dużą łyżką drewnianą kutię i wprawnym rzutem kreślił nią na suficie znak krzyża. Obyczaj ten był ponawiany rokrocznie, także w domach tamtejszych chłopów, ale na pewno 14 dni po naszej wigilii. Przy tej okazji przypomniałem sobie, że do uciarania maku w makutrze stosowano dużą drewnianą pałkę o nazwie makohon. Brzmi mi ta nazwa szczególnie oryginalnie i budzi swoiste wspomnienia. Z tej samej izby ruszały na dworskie pokoje tamtejsze jasełka z udziałem kolorowo poubieranych najbliższych pracowników dworskich, oczywiście z herodem, żołnierzami, żydem i śmiercią. Grinko był wtedy najważniejszy i wygłaszał stosowne tyrały.

**W**Kochanówce gospodarzyło się ciężko, ziemia była nieurodzajna, a w kraju sytuacja rolnictwa nie była wtedy w ogóle szczególna. Były takie soboty, czyli dni wypłaty, kiedy wuj nie miał po prostu na nią pieniędzy. Zgromadzeni pod oknem kancelarii chłopci rozchodzili się szemrząc między sobą, a wśród nich lęgły się na pewno coraz bardziej dochodzące do głosu nastroje nacjonalistyczne, jak i komunistyczne. Te dwa sprzeczne sobie nurty jakoś się dziwnie na wschodzie naszego kraju splotały, aż przyniosły niebawem tragiczne skutki także wobec tamtejszego dworu. Mieszkańcy Kochanówki to Rusini, z wyjątkiem jednej rodziny polskiej o dziwnym nazwisku Twerdochlib. Wszyscy byli zdecydowanie biedni, a gotówki brakowało szczególnie tym, którzy nie zarabiali pracą

we dworze i byli na własnym utrzymaniu. Korzystał z tego Husiar, pożyczając pieniądze, które zwracali mu w naturze, po bardzo niekorzystnych cenach. Nie jestem pewien, czy wuj Ludwik nie był czasem zmuszony skorzystać z kasy tego Żyda. Brak gotówki u tamtejszych chłopów zmuszał do daleko idącej samowystarczalności w jedzeniu oraz ubieraniu. W lecie tamtejsi chłopci nosili spodnie oraz wypuszczane koszule z grubego, zgrzebnego płótna lnianego, a głowy chronili od skwaru słomianymi kapeluszami. Przez całe lato chodzono boso.

Dwór Inu nie uprawiał. Tylko na poszczególnych poletkach chłopskich zaznaczał się on z dala, pięknie, błękitną plamą w okresie kwitnienia. Podczas roszenia w potokach i bajorach nie było już tak pięknie. Trwał tam długo niemiły zapach gnicia zebranych krzaczków tej pożytecznej rośliny. W efekcie było znów malowniczo, kiedy przerobiony stosownie len zmieniał się w jasne plamy płótna, wystawianego na słońce i moczonego, celem bielenia.

Nad bezpieczeństwem dworu czuwał stróż nocny o nazwisku Czardasz. Miał obowiązek chodzić w nocy po całym terenie wokół dworu, a szczególnie poprzez obiekty gospodarcze. Od czasu do czasu winien był donośnie pohukiwać, by okazać w ten sposób swoją obecność oraz czujność. Pewnego razu ojciec mój sprowadził ze Lwowa specjalny zegar tamtejszych „czuwajów”, który należało co godzinę nakręcać i wykazywać, w ten sposób, że nocna służba pełniona jest w sposób ciągły. Niezadowolony Czardasz był ogromnie, bowiem zegar ten uniemożliwiał mu okresowe przedzemanie. Czardaszowi towarzyszył wilczur Frant oraz podobny do owczarka tatrzańskiego Cezar.

Na podwórku, z zachodniej strony dworu, żyły sobie w zgodzie kury, kaczki oraz indyki. Piękne i dumne pawie spacerowały w okolicach gazonu, stale coś skubiąc. Samce rozpościerały od czasu do czasu swoje imponujące ogony i pusząc się obnosiły z nim przez jakiś czas wokół. Sporadycznie wydawały przeraźliwe, swoiste pianie, które potęgowało się wobec nadchodzącej niepogody. Te mądre ptaki nocowały chętnie wysoko, na kasztanach w okolicy podwórka, upatrując pewnie tam ratunku przed ewentualnym nocnymi drapieżnikami.



W istotnej odległości od budynku dworskiego zaczynało się tzw. gumno, a na nim stajnie. Ta dla koni mieściła według mnie ok. 20 par koni, w tym dwie pary wyjazdowych, przeznaczonych do powozu oraz bryczki. Do powozu przeznaczony był Hetman i bułana Sarna. Do bryczki, a więc pojazdu mniej reprezentacyjnego, przeznaczona była okrągłutka Dynia oraz jej partner o niezapamiętanej nazwie. Do pewnego czasu przebywał tam także koń Zbyszka, Eros. Pozostałe konie to pary robocze, z których każda miała swojego fornała. Do niego należało prowadzenie prac w polu, a także codzienny obrządek. Dla zapewnienia ciągłości pracy sprzętu gospodarskiego w przybudówce stajni końskiej działał kołodziej, pełniący także rolę kowala, a także rymarz. Były tam wykonywane części zamienne, jak koła, kłonicy, rozwozy i dyszle, a nawet całe, kompletne wozy robocze. Rymarz korzystał z „konika” o rozwartych szeroko nogach, na którym siedział podczas pracy okrakiem, mając przed sobą zacisk do mocowania naprawianego, skózanego elementu.

Obok znajdowała się także wozownia, w której przechowywano czarny, świecący lakierem powóz wyjazdowy oraz mniej imponującą, lecz praktyczną bryczkę z wypełnionymi sprężynami siedzeniami zamocowanymi na pasach. Powóz służył prawie wyłącznie do odbioru gości ze stacji kolejowej i prowadził go Michajło, a bryczkę Młodszy Seńko. Korzystał z niej najczęściej wuj Ludwik do wyjazdów roboczych w pole. Często zabierał mnie ze sobą, pozwalając przy tej okazji powozić, co czyniło mnie godnym zaufania i wzmagало moją odpowiedzialność. Stałym towarzyszem wypraw wuja w pola był biały szpic o nazwie Bebiś.

Pod kątem prostym była przyłączona do stajni końskiej stajnia dla bydła, którego było ok. 80 sztuk. Trzy razy dziennie odbywał się podój, na który schodziły się ze wsi umówione kobiety, dojące krowy do drewnianych skopców. Mleko zlewano co jakiś czas do dużego blaszaka, ustawionego w przejściu centralnym i wyposażonego w pływak, określający bieżąco ilość zlewane go mleka. Skopce były starannie myte, a mleko zbierano przelewając przez szmatę. Na podwórku, przed stajniami, znajdowała się studnia z kołowrotem oraz duże, drewniane koryto do pojenia zwierząt. ►

## NA TOWARZYSKIM SPOTKANIU...

Raz miła Polka,  
nie bez powodu,  
Szepnęła do mnie:  
Czy pan CZASEM nie ze wschodu?

Pan tak miękko zaciąga  
Jak kiedyś we Lwowie,  
Pan pewnie stamtąd,  
Niech pan mi powie!

Coś w gardle mi stanęło,  
Taj na chwilę zaniemówiłem,  
Bo myślałem, że ten bałak  
Ja z latami zgubiłem.

Ta proszy ja pani,  
Pani si wcali nie myli,  
Ja swego bałaku  
Nie straciłem na chwili...

Od czterdziestu lat w Kanadzie  
W językach bałakam dwóch,  
Ali we mni wciąż siedzi  
Ten podolski duch.

Jest jeden błąd  
W tej sprawie własni  
I pani pozwoli,  
że jej wyjaśni:

Że to słowo CZASEM  
Tu nima racji bycia,  
Bo ja ze wschodu ZAWSZE,  
Taj do końca życia!

*Powyższy wierszyk nadesłał nam  
z Kanady p. dr Jan Dobrucki.*

## PROŚBA

Kto znalazłby datę i miejsce śmierci na wojnie **Mariana Józkowa**, ur. 1903 w Chorostkowie na Husiatyńskim Podolu, syna Jana, wnuka Mikołaja i brata Pawła i Mikołaja, który przed powołaniem do wojska w maju 1944 r. mieszkał w Derżyżach. Zginął prawdopodobnie w Warszawie w 1944 r. Jego rodzina pozostała w Chorostkowie.

Informacji o śmierci Mariana poszukuje Tadeusz Józków, 56-300 Milicz, ul. Kopernika 4a/1, tel. 71 38-40-038, nr kom.: 603-925-233.

► Był to pędził na pastwisko i na powrót do stajni Seńko Starszy, który opiekował się dodatkowo potężnym bykiem. Przechodząc przez gumno o suchej porze wznosiło się tumany kurzu, które wyglądały malowniczo szczególnie o zachodzie słońca. Coś jak na obrazie Wyczółkowskiego *Orka na Ukrainie*. Byk, zwany „Byniem”, był w zasadzie wiązany do mocnego drąga metalowego wbijanego głęboko w ziemię. Nie raz zdarzało się jednak, że urywał się z uwiązania i pędził galopem do stajni, siejąc wokół uzasadniony popłoch. Jedynym jego poskromicielem był właśnie Seńko. Zdarzyło się, że chroniąc się przed „Byniem”, przesiedziałem dłuższy czas na skrzydle otwartych wrót stajennych, którym rozwścieżone zwierzę potrząsało groźnie pochylonym, rogatym łbem, powodując moją uzasadnioną grozę.

Na uboczu podwórca znajdowała się kolejna stajnia, w której trzymano cielęta oraz trzodę chlewną. Wodę konsumpcyjną dla dworu pobierało się w zupełnie innym miejscu za pomocą klasycznego, malowniczego żurawia, z głębokiej studni. Obok niej w pobliżu grupy potężnych topoli odbywało się okresowo, wedle potrzeb, piłowanie pni drzewnych na deski, co wykonywały dwie osoby. Jedna stała na ziemi, a druga zaś na górze, na pniu umieszczonym w specjalnych kobyłkach. Na jednej z topól miały swoje tradycyjne gniazdo bociany, które swoim donośnym klekotaniem budziły w nas poczucie spokoju i pewności.

Tam także, pod tymi olbrzymimi drzewami, stary Wasyl „trzepał” miód z plastrów pobieranych z pasieki. Ta znajdowała się z boku dworu, obok obsadzonego jabłonią sadu. Mnie najbardziej interesowały tam wspaniałe, białe porzeczeki, które konsumowałem leżąc pod krzakiem.

Jedną z moich ulubionych zabaw była jazda na półwózkach, należących do pługów, a gromadzonych na gumnie pod rozłożystą lipą na niedużej górcie. Jak widać, nie brakowało mi w Kochanówce możliwości zabawy i równoczesnej mnogości sposobów poznawania ciekawostek życia na wsi. Nic dziwnego, że pobyty, które miały miejsce w latach 30. corocznie, dają mi do tej chwili okazję do ogromu wspomnień cudownie spędzanych tam młodych lat.

*Dokończenie w następnym numerze*

**Teresa Wojciechowska**

## Opowieść z zakamarków wspomnień

Do Lwowa przyjechałyśmy z mamą na dobre wiosną 1940 roku. Przed wojną byłam parę razy we Lwowie. To były krótkie wizyty, których celem był Cmentarz Łyczakowski, gdzie pochowany jest mój dziadek i brat mamy, student I roku architektury. Zmarł na skutek komplikacji po „hiszpance”. Babcia przeniosiła się do Przemyśla. W marcu 1940 r., w ciągu jednego dnia, gdy – wedle podejrzenia – miałyśmy być wywiezione, wyjechałyśmy z Krzemieńca. Trzeba było załatwić resztę rzeczy, które sowieci po długich targach pozwolili nam zabrać z Dederkał, gdzie był batalion KOP-u i gdzie przyszło nam mieszkać.

We Lwowie były ucieczki przed wywozem. Dzięki zupełnie obcym ludziom, wspinałym, o wielkim sercu Lwowianom, udało się nie podzielić losu rodziny. Ale kiedy doszło do konieczności wyrobienia tzw. paszportu (dowodu osobistego), trzeba było postarać się o fałszywe dokumenty. Mama była teraz Janiną Masłowską – praczką. Moje imię zostało to samo. Moje żyjące koleżanki i kolega pamiętają mnie jako Teresę Masłowską z piątej klasy. Zostało na pamiątkę świadectwo szkolne. Jednak przedmiotem tej opowieści nie są wspomnienia moich i mamy lwowskich przeżyć.

Po wkroczeniu Niemców do Lwowa w czerwcu 1941 roku wróciłyśmy do naszego nazwiska i znowu były Zofia i Teresa Wojciechowskie. Fałszywe dokumenty leżały w szufladzie. Któregoś dnia w 1943 r., a może wcześniej, przyszła do mamy znajoma z zapytaniem i prośbą, czy mama mogłaby ofiarować te niepotrzebne już dokumenty Żydówce, która straciła męża i córkę, a chcąc uratować życie musi uciekać ze Lwowa. Nazywała się Sobolowa (imienia nie pamiętam), jej mąż był adwokatem, a ona prowadziła przy ul. Sykstuskiej sklep z eleganckimi dodatkami. Dużo osób ją знаło.

*Wspomnienie*

Mama się zgodziła i za kilka dni znajoma przyproceedziła p. Sobolową. Była młodą, przystojną kobietą. Pamiętam ją doskonale. Była wysoka, zgrabna i nie pamiętam, aby miała semickie rysy. Tylko wyraziste, czarne oczy, które przy białych włosach specjalnie zwracały uwagę i mogły świadczyć o jej pochodzeniu. Posiwała tak przez noc, kiedy Niemcy zabili jej dziewięcioletnią córkę. Musiała piechotą uciekać ze Lwowa, zatrzymać się gdzieś na wsiach, aby znaleźć się jak najdalej od Lwowa, a dokumenty Janiny Masłowskiej miały w tym pomóc.

Po dłuższym upływie czasu, nieoczekiwanie, któregoś dnia p. Masłowska zjawiła się u nas. Mama zaniepokoiła się trochę, czy ktoś jej nie widział. Mieszkałyśmy wtedy na Kolonii Profesorskiej w małym domku nr 17 przy ulicy, której nazwy nie pamiętam. Pani Janina chciała zdać nam relację ze swojej ucieczki i podziękować za pomoc. Wyszła ze Lwowa kierując się na południe. Zatrzymywała się we wsiach, prosiła o nocleg i coś do jedzenia w zamian za pomoc w kuchni, czy w polu. W ten sposób oddalała się od Lwowa. Niestety zaczęło brakować sił. Zbliżała się do przedmieść Stryja. Było już ciemno, kiedy w oddali mignęło światło. Resztkami sił dotarła do zabudowań, zapukała do drzwi, które po chwili się otworzyły i w progu stanął Niemiec. Nogi się pod nią ugęły. Nie mogła uciekać. Pomogła znajomość niemieckiego.

Zapytała, czy może byłaby jakaś praca, bo jej poszukuje. Niemiec zawołał szefa, a szef zapytał, czy umie gotować, bo przydałby się ktoś do gotowania. Okazało się, że znalazła się we młynie, którym zarządzali Niemcy. I tak w gronie wrogów zajęła się przygotowywaniem posiłków dla nich. Pani Janina spodobała się bardzo szefowi. Stała się jego kochanką. Nieświadomy jej lwowsko-żydowskiego pochodzenia wysłał ją do Lwowa w celu załatwienia kilku spraw.

Chyba wiosną 1944 r. zjawiła się u nas jeszcze raz. Chciała opowiedzieć ciąg dalszy swego życia. Niemiec-młynarz zakochał się w p. Janinie na dobre. Powiedział jej, że rozjeździe się z żoną, bo tylko z nią wyobraża sobie dalsze życie. Wtedy uznała, że niech się dzieje co chce, ale nie może go dalej oszukiwać i przyznała się, że jest Żydówką. Na to Niemiec zapewnił ukochaną, że jest mu zupełnie obojętne, kim jest, bo on ko-

cha ją taką, jaka jest, i chce, aby spędziła z nim resztę życia. Odpowiedziała mu, że jego miejsce jest przy żonie i dzieciach, a jej w jej ojczyźnie, i tak musi zostać.

Mama dała jej nasz przyszły adres w Krakowie, gdzie mieszkał mój stryj. Stryj ściągnął nas do Krakowa, abyśmy uniknęły Syberii czy stepów Kazachstanu. Front zbliżał się dość szybko.

Pani Janina napisała do mamy z Katowic, potem przyjechała i opowiedziała, że razem z młynarzami, cofającymi się Niemcami, dojechała do Katowic i tam pożegnała się ze swoim szefem odmawiając kategorycznie dalszej wspólnej drogi. W Katowicach znalazła mieszkanie i pracę, a w 1947 roku wyjechała do Palestyny jako Janina Masłowska.

---

TERESA WOJCIECHOWSKA, ur. 1928 we Lwowie, córka dowódcy batalionu KOP na Wołyniu, który zginął z rąk sowieckich. Nauka w szkołach w Dederkałach, Krzemieńcu i Lwowie, w czasie okupacji niemieckiej w szkole zawodowej i na tajnym nauczaniu. Od 1944 w Krakowie, tu ukończyła gimnazjum i liceum oraz studia na ASP, na wydziale włókienniczym, dyplom w 1952. Praca w biurze projektowym do emerytury w 1990.

---

## Przeczytane

MAMY LICZNYCH PRZYJACIÓŁ:  
JAK NIE JUSZCZENKO, TO PUTIN

*W prasie (16 II '10) przeczytaliśmy notatkę PAP pod tytułem: „Komu Juszczenko napluł w twarz”:*

Premier Rosji Włodzimierz Putin oświadczył, że ukraiński prezydent Wiktor Juszczenko, przyznając tytuł Bohatera Ukrainy przywódcy OUN Stepanowi Banderze, „napluł w twarz swoim politycznym sponsorom”. – Stepan Bandera nie tylko splamił się współpracą z faszystami, ale także wyróżnił się szczególnym okrucieństwem przy rozprawianiu się z Żydami i Polakami – oznajmił Putin.

# Jadzia Cieczkiewicz

– przyjaciółka na zawsze



30 września 2009 roku zebraliśmy się na Cmentarzu Rakowickim: członkowie rodziny, przyjaciele, przedstawiciele Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Wschodnich, aby pożegnać tak bliską nam i drogą Jadzię Cieczkiewicz. Spoczęła w grobie swej matki. Było to drugie, tym razem ostateczne już pożegnanie. Pierwsze rozstanie nastąpiło cztery lata wcześniej, gdy Jadzia musiała opuścić Kraków. Stan jej zdrowia, w głównej mierze psychicznego, rosnące kłopoty z pamięcią, a także przypadki złamania kończyn uniemożliwiły jej dalsze samodzielne życie. Z pomocą przyszli zamieszkali w Warszawie braterstwo i bratanica. Dzięki ich staraniom Jadzia znalazła bardzo dobre warunki życia i opiekę w Domu Seniora w Ulesiu na Mazurach. Powoli aklimatyzowała się w nowych okolicznościach. Pan Zbigniew Cieczkiewicz przekazywał mi wiadomości z Domu Seniora, ale osobistego kontaktu z Jadzią już nie miałam...

Naszą znajomość, która przerodziła się w długoletnią przyjaźń, nawiązałyśmy w Krakowie. We Lwowie przed wojną nie znałyśmy się. Jadzia była już wtedy studentką uniwersytetu, podczas gdy ja uczyłam się jeszcze do gimnazjum. Poznałyśmy się dzięki naszym mamom. Spotykały się one, wraz ze swoimi lwowskimi przyjaciółkami, aby snuć wspomnienia „o kochanych lwowskich czasach”. Przekazywano sobie wtedy też najnowsze wieści ze Lwowa, odczytywano uroczyście listy od osób, które nie opuściły swego miasta. Kiedyś nasze mamy stwierdziły, że „dziewczynki” powinny się poznać i od tej pory obie zaczęłyśmy już czynnie uczestniczyć we wszystkich „zebraniach ziomkostwa”.

Do grona tego, oprócz pani Marii Cieczkiewiczowej i mojej matki Jadwigi Różyckiej, należały również pani Roma Witeszczakowa (matka poety i pisarza Leszka Elektorowicza) i jej matka pani Wanda Elektorowicza – obie panie to znane i cenione zarówno we Lwowie, jak i w Krakowie nauczycielki muzyki. Spotkania u nich były zawsze wzbogacone ich piękną grą na fortepianie. Przychodziły także pani Janina Bińkowska (jej córka to wybit-

na, nagradzana za swe projekty inżynier architekt Marta Ingardenowa) i pani Marylka Plutterowa z domu Schirmerówna, właścicielka nowoczesnej lwowskiej piekarni. To dzięki niej w czasie okupacji niemieckiej mieliśmy czasem okazję pokosztować białego chleba, który piekarnia była zmuszona wypiekać *nur für Deutsche*.

Z biegiem czasu grono lwowianek zaczęło się kurczyć, starsze pokolenie powoli odchodziło. Każde takie rozstanie było dla nas bolesnym przeżyciem. W końcu pozostały już tylko – również coraz starsze – „dziewczynki”.

Jadwiga Cieczkiewicz urodziła się we Lwowie u pragu niepodległości – w 1918 roku. Rodzice jej mieszkali w tym czasie w pięknym, zabytkowym budynku Straży Pożarnej, który przytykał do Wałów Gubernatorskich. Było to mieszkanie służbowe – ojciec Jadzi, kapitan armii austriackiej, został komendantem Straży, matka jej zaś, z domu Geischeimer, pochodziła z rodziny osadników, których wielu osiedliło się w Galicji za czasów c.k. Austrii. Rodziny te polonizowały się bardzo szybko. (Mówiło się: babcia poślubiła dziadka Austriaka, zdjęła mu z głowy szlafmycę, przebrała w czamaraę, a ich syn już szedł do powstania.) W tym mieszkaniu państwo Cieczkiewiczowie mieszkali do roku 1934, po czym przenieśli się do własnego domu przy ulicy Sobieszczyzna 16, skąd rozpościerał się malowniczy widok na Ogród Strzelecki.

W roku 1924 rozpoczęła Jadzia naukę w Szkole Powszechnej Sióstr Benedyktynek Łacińskich, która mieściła się za kościołem Matki Boskiej Śnieżnej. Przed reformą szkoła była czteroklasowa, więc w roku 1928 przeszła do Państwowego Gimnazjum im. Królowej Jadwigi. W latach 1932–1935 uczyła się do Gimnazjum Sióstr Nazaretanek, a od roku 1935 do 1937 do Gimnazjum im. Adama Mickiewicza, którego przełożoną była pani Olga Filippi. Była ona nie tylko szanowana, ale też kochana przez uczennice, czemu wy-

raz dała Jadzia we wspomnieniu pod tytułem *Mama Filippi*, zamieszczonym w Cracovia–Leopolis (nr 4/08, s. 37). Po zdaniu matury w roku 1937 zaczęła studia na Wydziale Filologii Polskiej Uniwersytetu Jana Kazimierza. Z zapisów w indeksie można się dowiedzieć, jak wspaniałych miała profesorów. Słuchała wykładów Juliusza Kleintera, Witolda Taszyckiego, Stanisława Łempickiego, Czesława Nankego, Karoliny Lanckorońskiej.

Studia te zostały przerwane przez wojnę i okupację sowiecką. Trzeba było zarabiać na życie (ojciec w tym czasie już nie żył), a więc podjęła pracę robotnicy w spółdzielni ogrodniczej. Od roku 1941, podczas okupacji niemieckiej, była zatrudniona jako urzędniczka w *Getreideverband* – instytucji, która nadzorowała obrót zbożem i jego przetworami. Równocześnie, w celach zarobkowych, zaczęła produkować drewniaki, taki „erzac” obuwia, który był wówczas w powszechnym użyciu. Jej młodszy brat Zbigniew, student politechniki, w roli zaopatrzeniowca dostarczał materiały do tej produkcji. Wyjechał on do Krakowa w lipcu 1944 roku. Jadzia z matką, zagrożone wywozem, musiały opuścić swój dom i zamieszkać u znajomej, która w maju 1945 roku ułatwiła im nielegalny wyjazd do Krakowa.

Po przyjeździe do Krakowa zamieszkały naprzód w Bieżanowie-Kolonii, potem w Borcu Fałęckim przy ulicy Żywieckiej. Jadzia zaczęła pracować w Instytucie Odlewnictwa przy ulicy Zakopiańskiej, a w celach zarobkowych kontynuowała wyrób drewniaków, nadal przy pomocy brata, który studiował na Wydziale Mechanicznym Politechniki Krakowskiej. Po śmierci matki opuściła Borek Fałęcki i w roku 1994 przeniosła się do mniejszego mieszkania w spółdzielni Domy Pogodnej Jesieni przy ulicy Dobrego Pasterza.

Jadzia żyła Lwowem i – można powiedzieć – we Lwowie, który sobie sama stworzyła. Wystrój jej mieszkania był „arcylwowski”. Nawet wzór na poduszce na tapczan pracownice wydzierganej szydełkiem stanowił wyraz LWÓW, przetworzony artystycznie w różnych ujęciach i kolorach. W swojej bibliotece zgromadziła wszystkie dostępne wówczas książki o tematyce związanej ze Lwowem, zarówno te wydane jeszcze przed wojną, które udało się jej zdobyć, jak i te wydane w kraju, w czasie gdy temat polskości Lwowa i Kresów Wschodnich nie był

już przez władze zakazany. Zdarzały się też pozycje wydane w Londynie, przemycone do kraju przez przyjaciół. Te książki, których wówczas nie wydawano, np. dialogi Tońka i Szczepka, „Uśmiech Lwowa” Makuszyńskiego (został wznowiony dopiero w 1989 roku) przepisywała pracownice na maszynie, a kopie przekazywała przyjaciołom. (Trzeba przypomnieć, że nie było wtedy jeszcze kserografów). Wiele książek zaprzyjaźnieni autorzy opatrywali bardzo osobistą dedykacją. Np. Witold Szolginia pierwszy tom swej książki *Tamten Lwów*, zadedykował w słowach: „Pani Jadzi Cieczkiewicz tę skromną przygarść fragmentów naszego zielonego życia w najserdeczniejszych krajobrazach naszego miasta ofiarowuję najprzyjaźniej Witold Szolginia. Warszawa, październik 1992”. Zaś tom ósmy, który wyszedł w roku 1997, już po jego zgonie, przysłała pani Wanda Szolginiowa z równie serdeczną dedykacją. Na tytułowej stronie swej książki *Tylko we Lwowie* jej autor napisał krótko: „Jadźce Cieczkiewicz – przejazdem u Durmikanów w Krakowie Jerzy Michotek – Jurciu z Rynku”. Jadzia utrzymywała kontakty osobiste z wieloma osobami, oczywiście oddanymi sprawom Lwowa, poświęcającymi się w różny sposób swojemu miastu.

Była wielostronnie uzdolniona. Pisała z łatwością, językiem barwnym, z wielką swadą i poczuciem humoru. Wspomnienia swoje zatytułowała *Kochane lwowskie lata*. Jeden ich fragment, opisujący rodzinny wyjazd do Zadwórze, ukazał się w Cracovia–Leopolis (nr 4/04, s. 32). Najwcześniejsze wrażenia z okresu dzieciństwa zamieściła w dziesięciu obrazkach. Wzruszył mnie szczególnie obrazek nr 5, który chciałabym tu zacytować:

„Straż Pożarna przytykała do Wałów Gubernatorskich, był to więc naturalny teren spacerów z córeczką, wożoną w wózku, prowadzoną za rączkę. Raz podczas takiego spaceru Mamusia miała właśnie położony po drugiej stronie Wałów, w górze ponad Strażą, pałac arcybiskupi, gdy na balkonie ukazał się sam arcybiskup Józef Bilczewski, postać czczona już za życia w sposób szczególny. Wtedy Mamusia wzięła mnie na ręce, uniosła w górę i pokazała mi postać na balkonie, świadoma chwili. Widząc to arcypasterz wyciągnął rękę nad ulicą i pobłogosławił dziecko i matkę. Wiele razy mówiła mi o tym Mamusia, zawsze z nabożnym kultem tej świątobliwej

postaci. (...) Muszę się przyznać, że ilekroć mijałam pałac, zawsze przypominałam sobie opowiedzianą przez Mamusię scenę i patrzyłam w zamyśleniu na długi balkon, na którym ukazał mi się święty człowiek. W 2001 roku został ogłoszony błogosławionym przez papieża Jana Pawła II”.

W roku 1999 dziennikarka Radia Kraków Danuta Urbanik przeprowadziła z Jadzią wywiad, który został nagrany na taśmę magnetofonową i opatrzony tym samym tytułem, co jej spisane wspomnienia.

Drugą dziedziną uzdolnień Jadzi było rysowanie. Rysunki piórkem wypełniane barwnymi plamami, oddające zamierzone treści z dużym poczuciem humoru, wychodziły spod jej ręki. Niejeden karykaturzysta mógłby ich jej pozazdrościć. Tworzyła całe serie takich obrazków. Albumik *Polskie przysłowia na wesoło* zawiera dwadzieścia dowcipnych scenek ilustrujących popularne porzekadła: np. *gdzie dwóch się bije...*, *o wilku mowa...* Zbiorek *Lwowski bałak* rysowany personifikuje na wesoło lwowskie wyrażenia, jak „ształa”, „hebra na bańce”. Takie serie obrazków otrzymywali przyjaciele, przekazywała je też listownie. Życzenia świąteczne przysyłała na kartkach, które sama rysowała i podmalowywała. Spory ich zbiór posiadała Marta Woźniak, artystka scen polskich, autorka wielu artykułów zamieszczonych w naszym kwartalniku, z którą Jadzię łączyła wieloletnia przyjaźń. To u niej i ja miałam okazję spotykać panią Martę, gdy przyjeżdżała do Krakowa. Zmarła ona nagle, w pełni sił twórczych w jesieni 2005 roku. W *Cracovia–Leopolis* nr 3/07 Romana Machowska i Ewa Śliwicka zamieściły artykuł przedstawiający jej postać i działalność, zatytułowany „Wspominamy Martę”.

Jadzia była też utalentowanym fotografem. Oczywiście najważniejszym obiektem jej zdjęć był Lwów. Zdjęcia czarno-białe, potem też kolorowe, robiła w czasie swoich wyjazdów do Lwowa. Nie miała przekonania do aparatów zautomatyzowanych, jak mówiła „glupoli”. Zdjęcia, podobnie jak swoje rysunki, opisywała, układała i oprawiała w tematycznych seriach. Pamiętam nasz wspólny wyjazd do Lwowa w roku 1978. Był to mój pierwszy pobyt w utraconej ojczyźnie, którą opuściłam jako uciekinier przed „drugimi bolszewikami”, a nie jako ekspatriant. Zarzekałam się, że nigdy tam nie pojedę, bo mi serce pęknie, ale się przełamałam i odtąd zaczęłam już

jeździć na Kresy Wschodnie. Razem z Jadzią obleciałyśmy wszystkie nasze domy, szkoły, kościoły, weszłyśmy na Wysoki Zamek. Wszystko to zostało udokumentowane naszymi zdjęciami: Jadzia na Wysokim Zamku, ja przed Kaplicą Boimów. Na Sobieszczyźnie odwiedziłyśmy panią Marię Pokiziak, jej dom leżał w najbliższym sąsiedztwie domu państwa Cieczkiewiczów, ja zaś znałam ją jako kierowniczkę Szkoły Ćwiczeń im. Adama Asnyka. Nasz katecheta z tej szkoły ks. dr Stanisław Bizuń powierzył mi „bojowe zadanie” zdobycia zdjęć z pogrzebu księdza Chwiruta, zasłużonego lwowskiego kapłana. Ks. Bizuń opracowywał historię kościoła we Lwowie. Za zdjęcia otrzymane od pani Pokiziakówny był bardzo wdzięczny. Jego książka pod tytułem *Historia krzyżem znaczone* ukazała się w roku 1993.

Mówiąc o talentach Jadzi, o wytworach jej rąk i o jej inwencji, nie można pominąć tego, co w szkole określało się jako „roboty ręczne”. Nie mogłam pojąć, jak przy wszystkich swoich zajęciach, pracy biurowej przed emeryturą, opisaną wyżej aktywności, znajdowała jeszcze czas na ulubione roboty szydełkowe. I w tej dziedzinie przejawiał się jej zmysł artystyczny – komponowała piękne wielobarwne wzory. Dostałam od niej dwie wełniane kamizelki, które do dziś mi służą „od elegancji”. W takiej kamizelce pamiętam jej matkę. O ozdobnej poduszce na tapczan już pisałam. Jadzia potrafiła też wydzierać makatkę, wisała ona na ścianie u naszej koleżanki, a był na niej sportretowany jej mąż, wysoki pan z długim nosem – trudno byłoby go nie poznać.

---

DANUTA RÓŻYCKA, ur. 1925 we Lwowie. Nauka w Szkole Ćwiczeń i Gimnazjum im. A. Asnyka, w czasie okupacji na kompletach. Po maturze podjęła studia humanist. na tajnym UJK. Równocześnie praca jako karmicielka wszy w Instytucie Weigla we Lwowie, a po jego ewakuacji – w Częstochowie. Po wojnie studia na Wydz. Farmaceutycznym Uniw. Poznańskiego, potem praca w Krakowie w Państw. Zakładzie Higieny oraz w Instytucie Ekspertyz Sądowych. Doktorat na AM w Krakowie. Do 1999 z-ca redaktora nac. czasopisma Instytutu „Z zagadnień nauk sądowych”. Na emeryturze ukończyła 3-letni kurs Uniwersytetu Trzeciego Wieku, uczestniczy w zajęciach Koła Literackiego UTW, przygotowuje referaty – zawsze na temat pisarzy ze Lwowa i Kresów Wschodnich.

---

Lwowski batak rysowany



batala



malucha



pelekatu



pitolti



stutopak



hebra od Baumacka



ali' si rapailat'!



gancu fycha



haciar



ali wielka hojda



cinaga, fajrus je!

chims

# Z Adamem Żurawskim, Tońkiem z kabaretu Tyligentne Batiary, rozmawia Janusz M. Paluch



**Jako artysta kabaretowy spotykał pan wiele wybitnych osobistości kresowych. Proszę opowiedzieć o tych spotkaniach, przecież oni musieli mieć i niewątpliwie mają wpływ na artystyczną drogę lwowskiego batiara z Bytomia...**

Rzeczywiście, dzięki koncertom kabaretowym, a występowałem w kilku zespołach, najpierw „Pacałycha”, potem „Paka Rycha”, „Siurpryza” i w końcu „Tyligentne Batiary”, miałem to szczęście i zaszczyt poznać wielu tych – jak to się mówi wcześniej i dobrze urodzonych, bo jeszcze na Kresach. Wśród nich był Jerzy Janicki, Tolek Szolginia – Ślepunder, jak go nazywali, bo nosił grube szkła w okularach. Napisał piękną książkę *Krajobrazy serdeczne*, wiersze niemal o każdym lwowskim kościele, placu czy ulicy. To najpiękniejszy przewodnik po Lwowie, poetycki, jakiego chyba już nikt nigdy nie napisze, bo przecież takiego Lwowa, jaki zapamiętał Szolginia, już nie ma. I nigdy nie będzie, niezależnie od tego, co nam jeszcze historia przyniesie. Poznałem też Adaśka Hollanka, Janusza Raganiewiczza organizującego piękne festiwale w Lesznie. W Krakowie poznałem panów

Andrzeja Chlipalskiego, Adama Gyurkowiacha, Andrzeja Pawłowskiego czy szanowną panią Emmę Fedyk z siostrą Zofią, w Warszawie Rysia Orzechowskiego, w Nowym Sączu Jurka Masióra, czy też w Bytomiu ostatniego z obrońców Lwowa Władysława Targalskiego. To prawdziwy zaszczyt! Od takich ludzi można się wiele dowiedzieć, wiele nauczyć. Spotkania z nimi, rozmowy – to dla mnie ładowanie akumulatorów, motywacja do dalszych występów. Tak wiele się od nich ciekawego dowiedziałem... Ciągłe się czegoś od nich dowiaduję, zawsze opowiedzą a to jakąś anegdotę, a ile słów lwowskich się od nich nauczyłem!

## **Od kiedy występuje pan w kabarecie?**

Takie możliwości otworzy się dopiero po 1989 r., kiedy można już było manifestować swoje pochodzenie. Oczywiście wcześniej udzielałem się artystycznie w szkole, harcerstwie. Znałem i śpiewałem różne piosenki lwowskie i chciałem coś w tym kierunku, batiarskiego kabaretu, robić. Kiedy dowiedziałem się, że w Bytomiu powstaje towarzystwo i kabaret, to sam zacząłem szukać kontaktu. I tak trafiłem do kabaretu „Pacałycha” założonego przez Dankę Skalską i Ryśka Mosingiewiczza. Tam też udzielał się Bogdan Kasprowicz. Tak się złożyło, że spotkałem się w Radzie Miejskiej z Janem Skalskim, mężem Danki Skalskiej, któremu opowiedziałem, jak to z Danką w MDK u pani Banderowej odstawialiśmy bajki dla dzieci. Długo już nie musiałem czekać, kiedy zadzwonił telefon od „koła z Jasia i Małgosi”, czyli od Danki Skalskiej. I w taki sposób wszedłem do zespołu, w którym chyba przez 15 lat odtwarzałem rolę *durnowatego Tońka*. Potem zrodził się kabaret „Paka Rycha”, następną była „Siurpryza”, no i w końcu powstały „Tyligentne Batiary” z niezastąpionym moim najlepszym przyjacielem i akompaniatorem Jędrusiem Jaworskim. Trzeba nadmienić, iż te kabarety, coraz mniej liczne osobowo, nie powstawały z naszego gwiazdorstwa, ale z przyczyn ekonomicznych, głównie organizatorów koncertów. Jerzy Janicki uwiecznił nasz kabaret „Pacałycha” w swej książce *Cały Lwów na mój głów*, gdzie wymienił nas z imion i nazwisk. To dla nas, artystów amatorów, prawdziwy zaszczyt i wyróżnienie. Kiedy Jerzy Janicki promował tę książkę w Bytomiu, miałem okazję go po-



znać. Wtedy rozmawiałem z nim długo, choć było to nasze pierwsze spotkanie. Później spotykałem go wielokrotnie. Z prawdziwą serdecznością witał mnie i zawsze znalazł czas na rozmowę. W Brzegu, w restauracji „Ratuszowa”, podczas jednego ze spotkań Kresowian pojawił się na naszym koncercie Jerzy Michotek. Dla nas to był stres. Śpiewać, mówić bałakiem przy Mistrzu, przy Jerzym Michotku? Nie było wyboru, no chyba, że uciec! Ale to nie przystoi... Wystawiliśmy wtedy spektakl *Bal u ciotki Bandziuchowej*. Siedział w głębi sali. Słuchał. W miarę jak to widowisko się rozwijało, przysuwał się coraz bliżej sceny. W końcu, na finał, wszedł na scenę i śpiewał razem z nami! I już na zawsze stał się, nie tylko dla nas, wzorem, ale przede wszystkim przyjacielem zespołu. W krakowskim „Sokole” poznałem pana Stanisława Wasiuczyńskiego. Z Ryśkiem Mosingiewiczem odtwarzaliśmy Szczepka i Tońka, wtedy pan Wasiuczyński, mocno już starszy pan, przy pomocy innych został wprowadzony na scenę, i usłyszałem bardzo piękne słowa: – *Teraz będę mógł już spokojnie pójść do Szczepka i Tońcia i powiedzieć im, że mają w Polsce swoich następców!* Niestety, coraz rzadziej spotykam takich ludzi, tych dobrze, bo w polskim Lwowie, urodzonych...

**Kogo poznał pan podczas swych wędrówek do Lwowa?**

We Lwowie odwiedzaliśmy starszych Polaków, tych, co tam pozostali, często w ich mieszkaniach. Pan by chciał usłyszeć nazwiska znamienitych Polaków, współczesnych Lwowiaków... Oni, Polacy, którzy tam zostali, ich dzieci, przyznający się do polskości, dziś tam mieszkający, ale nie tylko we Lwowie przecież, bo w całej Małopolsce Wschodniej, na całych Kresach, oni wszyscy są prawdziwie wielcy, godni szacunku i uwagi. My nigdy nie zrozumiemy tego, czego oni tam doświadczyli w przeszłości, ale i dzisiaj. Proszę pana, to oni walczyli i walczą o polskość na Kresach! Pierwsza moja wizyta we Lwowie miała miejsce w 1975 r. Pojechałem tam z synem. Moi rodzice nigdy już nie wrócili w swe rodzinne strony. Zaproszenie dostaliśmy ze Stryja, od rodziny mojej żony. Wtedy zrobiłem dużo fotografii. W ówczesnym ZSRR nie wolno było robić zdjęć, a jeśli już się miało kilka filmów, to

na granicy było się podejrzany. Dlatego też w drodze powrotnej wiozłem rolki filmów spakowane w orzechach. A filmów w sklepach nie było. Żeby je wywołać, wysłało się je do Bydgoszczy, bo tylko tam obrabiano przeźrocza. Jak potem pokazywałem te zdjęcia rodzicom i wielu znajomym, chwilom wzruszeń i wspomnieniom nie było końca. Wśród tych zdjęć mam fotografię naszego teatru z pomnikiem Lenina, którego tam już na szczęście nie ma. A zdjęcie zrobiłem tylko dlatego, że w tamtym miejscu stał pomnik króla Jana III Sobieskiego, który od lat podziwiamy w Gdańsku. Miałem ze sobą polski plan Lwowa, przy kościele św. Elżbiety chciałem się jednak upewnić, czy stoję na rogu ulic Gródeckiej i Leona Sapiehy. Pytałem ludzi, oczywiście po polsku, czy to jest ten kościół. Chciałem go obejrzeć, bo tam była chrzczona moja siostra. Jedni odpowiadali po rosyjsku, że nie rozumieją, że nie wiedzą. W końcu zaczęli mówić: – *Tak, to jest kościół św. Elżbiety. Proszę pana, ja już nie wiem, jak długo to tak będzie? Tu tyle ruskich, a naszych Polaków tak mało jest...*

**Skąd się wzięła pańska lwowska? Przecież pan urodził się w Bytomiu, na Śląsku.**

Nie zdążyłem się niestety urodzić we Lwowie. Czasami mówią do mnie: – *A co ty tam o Lwowie możesz wiedzieć? Jak możesz mówić o tym mieście, śpiewać, bałakać, jak ty właściwie Ślązak, Hanys jesteś.* To prawda, ja się już tutaj, w Bytomiu, urodziłem. Jerzy Michotek napisał mi w swej książce dedykację: *Adaśkowi, który nie zdążył się urodzić jak trza, ale ma pochodzenie jak trza.* Ale jak trza urodzili się moi rodzice. Tato – Roman pochodził z Sokala, mama – Maria z Krystynopola. Potem przenieśli się do Lwowa. Mój ojciec był kolejarzem. Po wojnie przyjechali do tej nowej Polski ze swoimi rodzicami. Pamiętam jeszcze to starsze pokolenie. Działek opowiadał mi o „babci Austrii”, jako że służył w wojsku c.k. Austrii, ponoć dosłużył się nawet jakiegoś stopnia wojskowego... Jak byłem chłopakiem, takim bajbusem, to nie bardzo chciało mi się słuchać tych opowieści. Takie sprawy mnie wtedy nie interesowały, a teraz nie ma już kogo o nie wpytać. Szkoda, bo taki kontakt z osoba-

mi wcześniej urodzonymi dużo daje. Natomiast to, co najcenniejsze, wychowanie patriotyczne, dostałem od rodziców. Mamusia była obdarzona talentem literackim, pisała wiersze. Była gospodynią domową, ale nawet podczas lepienia pierogów czy wałkowania ciasta nagle wszystko przerywała i wołała do mnie: – *Adamku! Szybko, szybko, daj chemiczny ołówek* – wtedy nie było długopisów – *i kawałek kartki!* I pisała wierszem, a to jakieś życzenia dla cioci czy z innych okazji, a Adaś to oczywiście potem recytował. Właśnie to spowodowało, że w miarę wzrastania i nasiąkania tą atmosferą nabierałem apetytu na Kresowość. A do tego udział w różnych szkolnych teatrzykach, jeszcze wtedy w szkole jasełka można było odgrywać. Bardzo dużo dało mi harcerstwo. Najpierw należałem do drużyny zuchów przy Szkole Podstawowej nr 13 im. Tadeusza Kościuszki. Później należałem do Szczepu Drużyn Artystycznych przy Miejskim Domu Kultury, a moja starsza siostra była nawet instruktorką harcerską. Potem, w Technikum Energetycznym, dosłużyłem się stopnia przybocznego, a jako dorosły i pracujący już, przed 25 laty, stworzyłem przy szkole podstawowej w Miechowicach 26. Drużynę Harcerską im. Andrzeja Małkowskiego, twórcy Harcerstwa Polskiego we Lwowie. Przejawy polskości, identyfikowania się z Kresami różnie wtedy w Bytomiu były odbierane. Utkwiła mi w pamięci groźba mojego kolegi z drugiej klasy: *Jak będzie wojna, to ja pierwszy przyjdę z takim nożem na ciebie*, tu pokazał, jak duży ten nóż będzie. Nie wiem, co u niego wywołało taką agresję wobec mnie? Może wiersze o polskości, które recytowałem, o tym *Orle Białym, który każdy Polak z krwi i kości zna cię dobrze z twej czujności, zły jest Polak, co cię nie zna, że pochodzisz stąd do Gniezna, tyś prawnuczek orłów starych, którzy strzegli polskiej wiary, którzy strzegli polskich grodów, byli chlubą dla narodu*. To fragment jednego z wierszy mojej mamy. A ten chłopak był Ślązakiem. W szkole pojawiał się sporadycznie, bo wyjeżdżali całą rodziną do Niemiec.

**Czy to był przypadkowy i pojedynczy wybryk?**

Różnie to bywało. W zakładach pracy też były konflikty. Kresowiaków miejscowi, czyli

Hanysy, nazywali „tymi ze wschodu” albo „gorolami”. Nie było to najprzyjemniejsze. Pomału jednak to zróżnicowanie zanikało. Jedni przyzwyczaili się do drugich i tak trwa to aż do dzisiaj.

**Kiedy się pana słucha, odnosi się wrażenie, że pan, jeśli już nie ze Lwowa, to przynajmniej z terenów tzw. „wschodniej ściany” się wywodzi. Ten akcent, ta miękkość języka, w żaden sposób nie przypomina twardości języka polskiego, jakiego słuchamy na Śląsku!**

To też jest przyczynek rodziców i rodziny, wychowania. W domu tak mówiliśmy. Nie chcę mówić, że miałem przez to kłopoty, ale w szkole, w klasie były dzieci z różnych stron, a dzieci bywają okrutne. Mało tego, dopiero po latach, kiedy się spotykaliśmy, kiedy już można było mówić i przyznawać się do pochodzenia, wychodziło na jaw, że wielu moich kolegów ma też kresowe korzenie! Nie przyznawali się? A może nie wiedzieli o tym, bo rodzice – na wszelki wypadek – im tego nie mówili? Ten mój, rzeczywiście charakterystyczny, akcent, nasila się, kiedy mam koncerty i spotkania z Kresowianami.

**Występując na scenie, mówi pan i śpiewa we lwowskim bałaku. Przecież to nie jest pański język, musiał się pan go wyuczyć.**

Cały czas się uczę. Staram się słownik batiarów, czy lwowskiego bałaku, pogłębiać, poszerzać. Ale teraz nie jest to łatwe. Pan nie uwierzy, ale zaliczam się do grona niewielu, którzy w tak naturalny, spontaniczny sposób potrafią się w bałaku wypowiadać. Inaczej jest z moim kolegą Ryśkiem Mośsingiewiczem, który jeszcze się tam, we Lwowie, urodził. W domu nasłuchiwał się tego bałaku i mówi zupełnie inaczej niż ja. Być może wiąże się to z tym, że moi rodzice, którzy we Lwowie byli jednak przybyszami, nie byli w stanie przekazać mi tego prawdziwego lwowskiego bałaku. Jakkolwiek, czuję się dobrze w tym lwowskim języku. Myślę, że wychodzi mi całkiem dobrze. Wielokrotnie spotykałem się z ludźmi, którzy na siłę chcieli bałak „odstawić”, ale im to zupełnie nie wychodziło! Choćby Stasiu Wielanyk, który śpiewa piękne warszawskie piosenki i jest w tym mistrzem. Nie powinien jednak udawać lwowskiego bałaku! Ja uwielbiam bałak. We Lwowie są jeszcze ludzie, którzy przepięknie potrafią mówić w bałaku.

**Tworząc program, skąd pan czerpie teksty? Czy pisze pan także?**

Nie, ja nie piszę. Ja składam teksty już istniejące w cały program. Opieram się na tym, co jest. Sięgam do tekstów Tolka Szolginii. Do wielu utworów muzycznych proszę o dopisywanie tekstów, aby trochę te programy osiadły w naszej rzeczywistości. Na przykład: Kołakowski napisał piękną piosenkę *Pocztówka z Wrocławia*, w której porównuje Wrocław ze Lwowem. Ja poprosiłem o napisanie piosenki *Odpowiedź na pocztówkę z Wrocławia*, gdzie śpiewam: *Z Bytomiem los przyszło związać, tu mój potomek dorasta, według paszportu – to Ślązak, a serce z tamtego miasta, z lekcji historii nic o nim nie wie...* etc. Ludzie słuchają, wzruszają się, są zadowoleni, a my szczęśliwi. Teksty dopisują też Ryśkowie: Mosingiewicz i Gerliński, czasami Jędrzek Jaworski. Dialogi Szczepcia i Tońka też są oryginalne, choć skracane. W oryginale trwają nieraz po kilkanaście minut, ale przekonałem się, że te, a także inne napisane np. przez Juliusza Petry, nie straciły swej aktualności.

**Jak reagowali i reagują ludzie, którzy przychodzą na koncert i nagle słyszą swą lwowską mowę?**

Reakcje były i są przecudowne. Po koncercie zawsze wychodzimy do ludzi, żeby z nimi porozmawiać. Nie zapomnę takiej babci, kiedy po koncercie w Kłodzku wyszliśmy do ludzi i koło szatni zaczęliśmy jeszcze śpiewać. A ona przyniosła nam taki napis: *Tońku i Szczepku wiecznie żywi!* I wtedy nam się przypomniało o jednym takim też wiecznie żywym... Śmiechu było co niemiara! Podeszła do mnie i mówi takim wzruszonym głosem: – *Tońku, żeby ci Matka Boska dała zdrowie, a Pan Bóg wiele łask!* I wtedy powiedziałem: – *Gdyby ktoś dał mi wybór, milion do kieszeni albo te życzenia od pani, to ja bym wybrał te życzenia, bo one tyle mi szczęścia, radości i satysfakcji dają.*

**Proszę podać jakieś lwowskie miejsca w Bytomiu, gdzie spotykają się Kresowianie.**

Aktualnie istnieje Klub Kresowian przy ul. Moniuszki. Przed laty wyszedłem z inicjatywą organizowania „Kresowych obiadów



czwartkowych” w restauracji Jana Pietrzaka na ul. Podgórznej. Raz w miesiącu organizowaliśmy spotkania. Właśnie tam po raz pierwszy ściągnąłem z Krakowa Wojtka Habelę i Jana Petry. Jedno z takich spotkań w całości poświęcone było ojcu Janka – Juliuszowi Petry. Po jakimś czasie musieliśmy zmienić miejsce, ale to nastąpiło już po rozstaniu się z „Pacalychą”. W nowym miejscu nie było już tego klimatu. Byliśmy my i oni... Czasem było tak, że ludzie przechodzili obok restauracji, zaglądali, ale nie wchodziłi... A ja tam przeżrocza z Kresów wyświetlałem, śpiewaliśmy, bawiliśmy się... To była wielka zasługa restauracji, której zależało, by kresowe środowisko skupić na spotkaniach. Kiedy musieliśmy wprowadzić opłaty za wstęp, to liczba zainteresowanych znacznie zmalała. W końcu przerwaliśmy organizowanie spotkań, bo koszty znacznie przekroczyły wpływy i właściciele restauracji nie mogli już dopłacać. Innym miejscem jest Klub Kresowian, znajdujący się kilkadziesiąt metrów od tej restauracji, obecnie działający w innych strukturach niż TMLiKPW. Od jakiegoś czasu mieści się tam Światowy Kongres Kresowian, którego prezydentem jest pan Skalski. Kiedyś rzeczywiście na te Zjazdy Kongresu przyjeżdżali Kresowianie z całego świata!

**Panie Adamie, smutno pan zabrzmiął, a przecież Bytom stoi na węglu i na Kresowianach...**

Cała linia kolejowa od Przemyśla na zachód przepelniona jest Kresowianami. To taka *Kresowa Droga*. Dzięki koncertom poznawałem ludzi, którzy działali w oddziałach TMLiKPW. Wówczas wszyscy chcieli



być razem, spotykać się. Z czasem jednak ta wspólnota zaczęła się łamać, kruszyć. Nie potrafię powiedzieć dlaczego? Czasem ambicje ludzkie przewyższają to, co powinno być celem. Te nasze Kresy, ten kochany Lwów są przytłaczane przez małe ludzkie ambicje. Na pewno słyszał pan o prof. Edwardzie Prusie, historyku, autorze książki historycznych dotyczących Kresów... Ostatnio takie rozbieżności powstały przy tworzeniu Instytutu Kresowego. Kiedy rozmawiałem z płk. Niwińskim, jednym z założycieli tego instytutu\*, powiedział: – *Panie Adaśku, no jak tu doprowadzić do jedności, bo przecież w tym jest siła! Są liderzy naszych środowisk, którzy nie siadą ze sobą do jednego stołu! Nie chcą i nie będą rozmawiać ze sobą!* To przykre. Każdy z nich mówi niby o ważnych sprawach, podkreśla, jak ważna jest jedność, ale potem, gdy trzeba tę jedność pokazać przy podejmowaniu decyzji, to zaczynają się spory. To najbardziej mnie boli. Swego czasu odbywały się zjazdy Kresowian w Częstochowie. Cała Polska tam przyjeżdżała! Było to piękne! Potem, z różnych powodów, porobiły się skupiska wrocławskie, bytomskie i wiele innych, które przestały pojawiać się w Częstochowie. I tak jest do dzisiaj...

#### **Nie ma jedności...**

Oczywiście. I trudno jest się zebrać, by wspólnie występować o powstanie pomników czy powołanie Muzeum Kresowego. A takie już dawno mogło i powinno powstać. Bardzo mnie ucieszyła wiadomość, że w końcu powstanie w Warszawie Muzeum Katyńskie. A tak bardzo by się prosiło Muzeum Kresowe. Przecież, jeśli tego nie wymusza

Kresowianie, to nikt nigdy nie powoła takiej instytucji! Widziałem wiele wystaw, samozwanych muzeów opartych na własnych zbiorach Kresowian. Czasem rozmawiam z ludźmi, którzy chętnie przekazaliby te cenne rzeczy w odpowiednie ręce. Pytam, dlaczego nie chcą przekazać do Zarządu Głównego czy kół TML. Ale tu ludzie pewnie w przeszłości mieli złe doświadczenia, bo mówią: – *A co ja będę do nich przekazywał, przecież nie mam pewności, czy ktoś sobie tego nie sprzeda na giełdzie staroci...* Sam niejednokrotnie spotkałem się z takimi rzeczami, które kupowałem m.in. we Wrocławiu na starociach, rzeczy, które tak mocno związane były z Kresami. I to nieprawda, że te starocie ludzie wyrzucają w końcu na śmieci. Wielokrotnie słyszałem, że po śmierci takich nobliwych Kresowian, zanim oficjalne archiwa czy muzea dotarły do rodziny zmarłego, by zorientować się, co takiego pozostawił po sobie, to prawie nic już nie było, bo różni tacy z bożej łaski kolekcjonerzy byli szybsi i wcześniej „zaopiekowali” się tymi pamiątkami rodzinnymi.

#### **Wspomniał pan niezującego już prof. Edwarda Prusa... On miał ambicje polityczne i to go chyba zgubiło.**

To był bardzo ważny człowiek dla Kresowian. Dokumentował m.in. walki drużyn harcerek, które broniły polską ludność w walce z bandami UPA. Tyle wydanych książek, taka wiedza na temat dramatycznych dziejów Kresów... Był okres bardzo wielkiej przyjaźni Kresowian z prof. Prusem, a potem przyszedł czas, że jacyś ludzie zrywali plakaty informujące o jego wykładach.

#### **Skąd takie zachowanie wobec niego się brało?**

Jako kabaret jeździliśmy na spotkania promujące kandydatów do rad miejskich, wojewódzkich czy Sejmu – przede wszystkim Kresowian. I nagle ktoś zaczął manipulować naszymi wyjazdami: tu możemy jechać, a tam nie możemy... To spowodowało, że ludzie zaczęli spoglądać na siebie podejrzliwie. I tak też było z prof. Prusem, który odważył się kandydować do Sejmu. I narobił sobie wrogów...

#### **Zakończmy tę rozmowę czymś sympatyczniejszym. Pańska mama napisała piękny wiersz na powitanie Ojca św. Jana Pawła II:**

*Witaj, Ojczy Świąty, Pielgrzymie nasz drogi,  
z dalekiego Rzymu jedziesz w nasze progi,  
by spojrzeć na swoich kochanych rodaków,  
na starych i młodych szczęśliwych Polaków.*

*O szczęśliwa ziemi i szczęśliwy ludu,  
bo dzisiaj doznajesz tak wielkiego cudu,  
jak Cię witać, Ojczy, jakimi słowami,  
gdy na polskiej ziemi stoisz razem z nami.*

*Za tak wielki zaszczyt dzięki Ci bez miary,  
do stóp Twych składamy z serca swe ofiary,  
niech z serc naszych płynie hymn z wielką radością,  
dla Ciebie, Ojczy Świąty, dziecianną ufnością.*

*Dziś niebo i ziemia razem są złączone,  
wszyscy zwróćmy oczy w tę radosną stronę,  
tam dwie matki stoją zwrócone do siebie,  
jednej syn na ziemi, a drugiej jest w niebie...*

**Serdecznie dziękuję Panu za rozmowę.**

\* Kolejny Instytut Kresowy tworzony w Warszawie nie żadnego związku z pierwszym projektem Instytutu, w którego program angażuje się nasza redakcja w oparciu o Muzeum Niepodległości w Warszawie, a także – do niedawna – o zarząd krajowy stowarzyszenia „Wspólnota Polska” (patrz s. 3 w tym numerze).

## WYROK SALOMONOWY, I CO DALEJ

Media (m.in. „Dziennik Polski” z 3–5 IV '10) podały następującą wiadomość z Ukrainy:

*Doniecki okręgowy sąd administracyjny uznał wczoraj, że dekret o nadaniu Stefanowi Banderze tytułu Bohatera Ukrainy wydany przez poprzedniego prezydenta kraju Wiktora Juszczenkę jest sprzeczny z prawem, jako że Bandera nie był obywatelem Ukrainy. Sąd uchylił dekret.*

Znaleźli sobie sprytnie wyjście – *wilk syty i owca cała*. Bandera urodził się przed I wojną na terenie wschodniej Galicji-Małopolski Wschodniej, więc z mocy prawa przysługiwało mu obywatelstwo Austro-Węgier, między wojnami zaś – obywatelstwo polskie (!). Żadne państwo ukraińskie wtedy nie istniało, jedynie republika USSR, ale to za Zbruczem, więc obywatelem ukraińskim w żaden sposób być nie mógł.

Obecnie więc sąd ukraiński w Doniecku – nie trudząc się udowodnieniem istoty zbrodniczej działalności Bandery – znalazł sobie wyjście salomonowe: oparł się na fakcie czysto formalnym, wykonując tym sposobem niewątpliwie zalecenie nowej władzy. W sensie historyczno-prawnym sprawa została więc całkowicie zlekceważona i zaprzepaszczone, merytorycznie pozostaje bez wartości.

Co dalej? Można się spodziewać, że Janukowicz, podobnie jak wcześniej Juszczenko, straci dość szybko popularność (a ma ją tylko na wschodzie), bo gospodarki zapewne nie poprawi. Sytuacja polityczna też będzie się komplikować i prędzej czy później może wrócić Juszczenko czy Tymoszenko. Jak postąpi

ten pierwszy w sprawie Bandery – nietrudno zgadnąć, że dekret o *bohaterstwie* Bandery niezwłocznie przywróci. Jak postąpiłaby Tymoszenko – okazałoby się w zależności od sytuacji politycznej (może być jeszcze inne rozwiązanie, np. podział Ukrainy, o czym też się słyszy).

Trudno więc uważać, że sprawa Bandery została zakończona. Jedno jest pewne: żadne nasze względy nie będą tam wcale brane pod uwagę.

A propos: w mediach pisano i mówiono wiele o niedawnej zmianie rządów w państwie ukraińskim – odszedł Juszczenko, przyszedł Janukowicz. W krakowskim „Dzienniku Polskim” nr 24/2010 znalazła się rozmowa D. Ćosić z europosełem Pawłem Zalewskim.

Pytanie: – *Co dla Polski oznacza ukraińska zmiana warty? Odpowiedź: – Moim zdaniem nie będzie fundamentalnej zmiany. Pięć lat temu dojście do władzy „pomarańczowych” wcale nie przełożyło się na rzeczywistą dobrą jakość relacji polsko-ukraińskich. Sytuacja naszych przedsiębiorców robiących tam interesy wręcz się pogorszyła. A ostatnim akordem była gloryfikacja przez prezydenta Juszczenkę Bandery i UPA. W tym kontekście za panowania „niebieskich” może być już tylko lepiej.*

Pytanie: – *Do tej pory Polska była najbardziej żarliwym adwokatem Ukrainy w Europie. Odpowiedź: Dalej powinniśmy wspierać Ukrainę w jej ambicjach proeuropejskich. Nie może to być jednak poparcie bezwarunkowe. Ukraina sama musi pokazać, że chce wejść do wspólnoty euroatlantyckiej. W praktyce przekłada się to na kontynuowanie reform gospodarczych. No i klarowną politykę historyczną, która uszanuje też polską wrażliwość.*

## Rodzinna biblioteka

Opasłe tomiszcza drzemiące pod ścianą,  
oprawne w tłoczoną skórę,  
co w pajęczyny sukienkę odzianą  
pamięci jedwabną figurę.

Księgi, co z wielkim pietyzmem zebrane,  
srebrzą się w oczach i złocą,  
rzeźbionych półek zakłębem skazane,  
zamknięte marzeń niemocą.

Z nich wnet różnobarwny tłum cieni wybiega  
i w świetle księżycza się krasie,  
zamglony snem umysł majaki postrzega,  
gdy noc słońce zmierzchem ugasi.

Wiekowa rycina, staloryt ze Lwowa  
i szabla dziadka na ścianie,  
znajomych postaci z portretów rozmowa,  
co rychło przed świtem ustanie.

Pająk, co wyszedł na spacer północą,  
bo to jest jego godzina,  
porą tajemną, gdy gwiazdy migocą  
i księżyc jaśnieć zaczyna.

Wśród rzędów regałów milczący wymownie  
Piłsudski ze spiżu na koniu,  
patrzący dziś w przyszłość zamgloną  
niezłomnie,

jadący po srebrzystym błoniu.

Tu fajka pradziadka niezmiennie się pręży  
wyniosłym, rzeźbionym cybuchem,  
dębowym listowiem wijących się węży,  
ulotnych wspomnień okruczem.

I znad Ostrej Bramy, to tu Matka Boska  
nad wejściem przysiadła łagodnie,  
a na Jej obliczu to radość, to troska,  
wysłuchuje się w ciszę pogodnie.

Czy wszystko to mara, czy tylko w pamięci  
ukryte przed czasu pogardą?

Czy z rzeczy realnych przekutej niechęci  
błazeńską powiewa kokardą?

Dzień niesie odpowiedź, poranka  
zapowiedź,

płożąca się świtem ospale,  
tłumiąca daremną, obłudną wypowiedź  
wielbiącą współczesność zuchwale.

Wspomnienia są cudem, pamięci biegunem,  
co sił ci dodaje wytrwale,  
wśród zdarzeń z przeszłości okrytych całunem,  
to dom swój wzniesiony na skale.

15 sierpnia 2007 r.

*Wiersz Autora, jak zapowiedzieliśmy w CL 4/09,  
s. 50, miał się ukazać w tym (poprzednim)  
numerze, doszło jednak do zamieszania w ma-  
teriałach. Za ten błąd więc niniejszym Autora  
i Czytelników serdecznie przepraszamy.*

## Anioł dwóch skrzydeł

Nie ma już starych dworców  
– zapadły się w nicłość.  
Pożar strawił Krzemieńca  
żydowską dzielnicę,  
niemiecki krzyż wypędził z miasta  
tamtych ludzi  
– kule przeszły piersi.  
Niemy krzyk w bruk wrastał.

Nie ma polskich okiennic  
i radosnych ganków  
– do szczętu wyniszczono  
bielone filary.  
Nie ma tego Krzemieńca,  
po którym płakałeś  
ostatniej nocy z Felińskim  
w rozmowie.

Nikogo nie ma z tych,  
którzy zostali...  
Piszę to w listach,  
żebyś nie rozpacział.  
Gdy Bóg – Aniołem  
ześle cię na ziemię  
i ten Krzemieniec  
– na powrót, zobaczysz.

Będą skarżyć nieśmiało mieszczanie  
– jak mało dzisiaj polskich słów  
na ustach...  
Zaprowadzą – przed pomnik  
w kościele...  
Wszak byłeś z nieba  
na ziemię posłany...

Anioł dwóch skrzydeł  
– dotąd strzeże ciebie.

świt 25 III 2009, Chełm

Jan Parandowski

# Szambelan

Zdarzało się czasem tak, że to ani prawdziwe święto, ani zwykły dzień: dwie godziny nauki, a potem do kościoła. Tego dnia wypadła jakaś większa uroczystość, bo zamiast do Marii Magdaleny powędrowaliśmy do katedry – cała szkoła czwórkami, nauczyciele, a dyrektor w stroju sokolskim. Dla takich sztabaków była to wielka wyprawa, ten i ów trzymał za rękę sąsiada, każdy wóz na jezdni nas trwożył. Było niemało takich, co pierwszy raz w życiu (ileż go się uzbierało w tych siedmiu czy ośmiu latach?) wchodzili w nieznaną, tajemniczą i nad wszelki wyraz wspaniałą ulicę, a sama katedra rozpięta się nad nimi niepojętym czarem.

Ja, urodzony na Chorążczyźnie, z której dopiero przed rokiem wywędrowałem w dalekie strony, poruszałem się swobodnie wśród znajomych ulic, a z katedrą łączyła mnie zażyłość i teraz mogłem służyć za przewodnika. Niejeden z chłopców, nawet taki, którego ledwo znałem, trzymał się mnie i nie odstępował.

– A tam jest obraz Matki Boskiej, przed którym składał śluby Jan Kazimierz.

Aż się nadałem pychą, wypowiedziawszy to zdanie. Pochodziło ono od wuja Stefana, który raz towarzyszył nam – mnie i matce – w niedzielę na wczesne nabożeństwo – rzecz niesłychana i przez to pamiętna. Moje słowa posłyszał sokoli dyrektor, obejrzał się i rzucił mi spojrzenie wyraźnie pochlebne. Ale jeden z kolegów zaraz zgasił mój tryumf.

– Ach, to ten z „Potopu”.

Nie wiedziałem, o co chodzi i dlaczego nasz król był świadkiem (czy ofiarą) potopu. Już jednak wchodziliśmy do kościoła.

Staliśmy zbitą gromadką na placu Kapitulnym czekając, kiedy nas nauczyciele znów ustawią w czwórki, ale tylko jeden z nich krzyknął: „Chłopcy, wracać do domu!”, i na pożegnanie kiwnął ręką. Byliśmy niepewni tej nagłej, może nawet niepożądanego wolności. W końcu ten i ów odbiegał albo sam, albo z paru innymi, w kilka minut później wszystko się rozproszyło, został przy mnie tylko Tadeusz. Jednego ze mną wzro-

stu, w tym samym roku, a nawet miesiącu urodzony, był mi najbliższym towarzyszem i w kłopotach szkolnych, i w zabawach. Poza szkołą nie widywałem go, mieszkał daleko na Polnej.

– Chodź – trącił mnie w ramię – pokażę ci mojego dziadka. To szambelan.

Oszołomiło mnie to słowo. Wszystko było w tym dniu oszołamiające, najbardziej wiosna, taka uroczą, taka gwałtowna, zdawało się, że Sobieski nie utrzyma w cuglach swego konia i z pomnika ruszy w cwał przez Wały Hetmańskie całe w zielonożółtym puchu pierwszych listków, i zatrzyma się aż na szczytcie teatru.

Tadeusz zaprowadził mnie na plac św. Ducha i ukrył w pawilonie, który stał pośrodku. Sam poszedł naprzeciw w stronę gmachu, gdzie w na wpół otwartej bramie stał szambelan. Żadna inna nazwa nie była godna tej postaci. Wysoki, o czerstwej twarzy z sumiastym wąsem, miał na głowie wspaniałą kapelusz trójgraniasty ze złotymi naszywkami, obszypany białym puchem, a okrywał go płaszcz ze złotymi guzikami. W lewej ręce trzymał wysoką laskę ze złotą kulą. Tadeusz podszedł do niego, dostojnik wyraźnie się ucieszył, pocałował go w czoło, coś ze sobą gadali, w końcu Tadeusz uklonił się i pożegnał, ale ten go jeszcze zawołał i dał mu coś, co wydobył z kieszeni płaszcza. Potem znikł w bramie, a Tadeusz wrócił do mnie. Przyniósł garść karmelków, które dostał od dziadka.

– Widziałeś?

Nie umiałem wyrazić podziwu i zachwyty, Tadeusz trącał mnie łokciem.

– No, mów!

Coś tam bąknąłem, coś tam chrząknąłem – oburzyło go to, długi czas się nie odzywał. Już byliśmy na Sykstuskiej, gdy zaczął mówić.

– Ty się na tym nie znasz. To wielka osoba. Sam widziałeś, jak wygląda. To przy cesarzu tak się chodzi – w takim kapeluszu, z taką wysoką laską. Mówię ci, szambelan.

Nie mogłem pozbiierać myśli, żadne stosowne słowo nie przychodziło mi do głowy. Trzymałem ją nisko pochyloną i pewnie dla tego zastanowiły mnie jego buty: były w lichym stanie. Od butów przeniósłem wzrok na spodnie, na kubraczek, którym brakowało guzików, a jeden był inny. I zaraz się zawstydziłem, choć on nie widział moich

spojrzeć ani nie przeczuwał moich myśli – ja sam ich zresztą nie umiałbym wyrazić.

Na szczęście w górnej Sykstuskiej, jakby się konie spłoszyły, zaczął pędzić wóz pocztowy z wielkim hurkotem kół i szczękiem pudła z blachy, o którego ściany, jak się można było domyślić, objęły się leżące tam paczki, bo słyszało się niby łomotanie, jakby ktoś pięścią grzmocił – oczywiście, byłaby to pięść olbrzyma. Stanęliśmy, zatrzymaliśmy dech w piersiach, niepewni co robić: czy wspinać się dalej w stronę kościoła Marii Magdaleny, czy biec za zbiegającym w dół wozem – a nuż się przewróci i rozbije o latarnię? Ale już było za późno, wóz mknął tak szybko, że za chwilę straciliśmy go z oczu, nie wiadomo, czy skręcił w lewo czy w prawo, czy się gdzieś wreszcie zatrzymał, tramwaj zasłonił go tam w dole.

Przez resztę drogi tylko o tym mówiliśmy – o wozach pocztowych, rozbrykanych koniach, Tadeusz chełpił się, że raz tą właśnie ulicą Sykstuską zjechał uczepiwszy się z tyłu wozu pocztowego.

– Tam jest taki stopień, na którym fajnie się stoi, a furman ciebie nie widzi.

W domu roztropnie przemilczałem przygodę z wozem, takie rzeczy budziły niepokój, skłaniały babkę i matkę do obfitych przestróg, które co gorsza, kończyły się rozważaniem, czy można mnie samego puszczać „na miasto”. Rozgadałem się natomiast o Tadeuszu i szambelanie. Przeszło to na razie bez wrażenia, bo matka musiała zajrzeć do kuchni, a babka myślała o czym innym – jeden z niepojętych zwyczajów osób starszych. Na koniec się ocknęła:

– Jaki szambelan? O czym ty mówisz?

Postarałem się zwięźle i jasno opisać imponującą postać z placu św. Ducha. Matka wróciła, babka dała jej znak ręką, jakby chciała powiedzieć, żeby mi nie przerywała. Dopiero o wiele później zrozumiałem, że się myliłem. I babka zapytała:

– To ten szambelan jest dziadkiem twojego Tadeusza?

– Tak. Czy babcia go zna?

– Może.

Nie pytałem więcej, obiad się skończył, babka zaraz poszła do swojego pokoju, matka została jeszcze ze mną, by się dowiedzieć, jakie mam lekcje do odrobienia.

– Ee, nic takiego, dzisiaj nie było żadnej nauki.

Mogłem wrócić do bajek Andersena. Bez obrazków, już dobrze podniszczone, wyglądały na jakąś książkę szkolną i matka, zachwycona moją pilnością, zostawiła mnie w spokoju.

Wesoło ruszyłem w ten świat niefrasobliwy, gdzie pałace królewskie każdemu stoją otworem, a królowie witają gości przy bramie, w szlafroku i w świeżo wyczyszczonej koronie. Wśród pól i lasów, nad jeziorami, po górach snują się białe ścieżki, którymi można dojść wszędzie, spotkać zawsze to, co niewiadome i nieoczekiwane. Otwierały się przede mną nieprzeczuwalne obszary życia. Oto len, który niewinnie podnosił ku słońcu niebieskie kwiatki (znałem go osobiście z pewnego pola w Brzuchowicach), czuł, myślał i cierpiał jako sztuka płótna, jako bielizna i jako biała kartka papieru. Sosenka, ścięta w lesie, przechowywała pamięć bujnych dni aż po ten ostatni, gdy ją porąbano na drobne polanka i wrzucono do pieca.

Ileż współczucia miał malutki groszek, który wcisnął się w spróchniałą deskę, aby choremu dziecku wrócić zdrowie radością swych zielonych kielków! Każdy obraz, każde zdanie podnosiło westchnienie, byłem serdecznie bliski wszystkiemu, co żyje, i znajdowałem potwierdzenie tego, co dla mnie było oczywiste: że nie ma przedmiotów martwych, że wszystko, na czym spocznie oko, czego dotknie ręka, jest tym, czym ja sam jestem – myślą, uczuciem, pamięcią.

A działały się jeszcze większe cuda. Oto za oknem umknęła gdzieś wiosna, drzewa naszego ogrodu zmieniły się do niepoznania, urosły wysokimi świerkami, okrytymi białą kiścią, a tam, gdzie można się było spodziewać altany, rozbiegły się krzaki i drobne drzewka, otulone puchem śnieżnym, nasycone mglistym światłem ni to słońca zza chmur, ni to księżycy, i biegły dalej, niewstrzymane płotem sąsiada, biegły lasem, w którym i ja się znalazłem, zabłąkany i zachwycony. Z gałęzi odzywały się ptaki, małe i wielkie, różnobarwne, strojne, zza drzew patrzyły oczy, w których rozpoznawałem spojrzenia mieszkańców grot, uroczysk, kniei, wabiące ku tajemnicy nie naruszonej dotąd żadnym słowem.

Drzwi u mnie były otwarte, mogłem słyszeć, jak babka weszła do pokoju matki. Ale mnie od matki oddzielał jeszcze inny pokój,



właściwie niezamieszkały – „przejezdny”, jak go nazywaliśmy, bo na otomanie sypiali goście, dalecy krewni, podwójnie dalecy, bo i przybywający z daleka, trochę przez to tajemniczy, zawsze otwarty na niewiadome jutro.

Słowa babki z głębi mieszkania dolatywały jak poszarpane nitki babiego lata i tylko mój słuch wewnętrzny, może nastrojony bajką, może zaostrzony czujnością serca, odgadywał treść i sens.

– Tak jest zawsze w życiu, szczególnie u biednych ludzi, każdy chce być czymś więcej, niż mu los wyznaczył, i ani myśli, że „to więcej” nic nie warto.

Jeszcze kilka nici opłotło się dookoła człowieka, który, jak mówiła babka, był prawy, zacny, uczciwy, czego nie można powiedzieć „o wielu noszących szumne tytuły”.

Rozumiałem i było mi smutno. Po raz pierwszy miałem żal do babki, bo nieswiadomie i niechcący, w niewyczerpanej dobroci serca, odjęła mi złudę w zamian za niepowabną prawdę. Nie przyjąłem tego daru i wiele razy, pod tym lub innym pozorem, robiłem dalekie wyprawy na plac św. Ducha, by zdjąć czapkę i szurnać bucikami przed wspaniałym szambelanem. Odpowiadał uśmiechem i prawą dłonią dotykał trójgarniastego kapelusza. Aż któregoś dnia idąc tędy z matką zobaczyłem nową postać – zażywnego jegomościa z bokobrodami na wzór Franciszka Józefa.

– O – zdziwiła się matka – to już Marcin Boski nie stoi na bramie Izby Skarbowej.

Nie pytałem o nic. To nazwisko przejęło mnie wzruszeniem. Moja babka, jak zawsze, miała słuszną: dziadek Tadeusza na okrycie swej skromności posiadał strój wspanialszy niż pożyczony tytuł, który teraz był dla mnie śmieszny.

Wkrótce skończyła się moja zażyłość z Tadeuszem: on poszedł do szkoły realnej,

ja do gimnazjum, nigdyśmy się odtąd nie widywali. Jego dziadka natomiast spotkałem w innej postaci, gdy już miałem dwa srebrne paski na kołnierzu – dopiero co przyszyte na nowy rok szkolny. Właśnie był pierwszy dzień nauki, właściwie ogryzek, dwie godziny – sprawdzano listę uczniów, dyktowano spis podręczników, w jakie należało się zaopatrzyć. Wybrałem się po nie do księgarni Altenberga na ulicy Karola Ludwika. Dostałem tylko parę książek, bo okazało się, że większość zostaje z poprzedniego roku.

Z lekkim ładunkiem mogłem sobie pozwolić na spacer na Wałach Hetmańskich. Ale zaledwie minąłem pomnik Sobieskiego, stanąłem, a za chwilę cofnąłem się w cień, by mnie nie zauważył ten, kto siedział na najbliższej ławce. Był to Marcin Boski. Odprysk słońca z szabli królewskiej padł na jego długie siwe włosy. Starzec uśmiechał się i coś mówił. Do kogo? Do wróbli, które trzepotliwą gromadą skakały wokół jego ławki, podfruwały ku niemu, jeden usiadł na kolanie. Z torebki papierowej wydobył garść pokruszonego chleba i rzucił ptakom. Uśmiechał się do nich i mówił. Nie słyszałem słów, nie śmiałybym podejść bliżej, ale też nie mogłem odejść. Stałem tak, nie wiem jak długo, staruszek w końcu wytrząsł torebkę i pokazując, że jest pusta, powiedział głośno:

– No, widzicie, więcej nie ma.

Wróble poderwały się z ziemi i głośnym ćwierkaniem okrążyły starego człowieka, wreszcie odleciały ku sąsiednim drzewom. A więc i to jeszcze: on umiał rozmawiać z ptakami.

---

JAN PARANDOWSKI (ur. 1895 Lwów – 1978 Warszawa), wychowanek Gimnazjum Klasycznego we Lwowie, ukończył filologię klasyczną i archeologię na UJK. Prozaik, eseista, tłumacz, podróżnik. 1933–1978 prezes Pen-Clubu, wykładowca na KUL.

---

Opis zdjęcia, patrz III s. okładki

Lwów — Lemberg



Adam Krajewski

# Lwowskie przedmieścia

## Obrazki i szkice sprzed półtora wieku

Poniższy tekst pochodzi z książeczki o innym nieco podtytule: *Obrazki i szkice z przed pół wieku*, wydanej we Lwowie w roku 1909, a teraz jesteśmy o cały wiek później... Do nas trafił ze spuścizną po pani Jadwidze Cieczkiewicz, która go przepisała w latach 90. minionego wieku, uważając zapewne, iż nie ma on szansy na wydawnictwo oficjalne. Poszczególne rozdziały chcielibyśmy przedstawić Czytelnikom w kolejnych numerach CL.

**P**przedmieścia lwowskie to świat do niedawna jeszcze odrębny, tak jak odrębnym był lwowski przedmieszczanin, zasadniczo różny od przeciętnego lwowianina, zasadniczo też różny od chłopca z wiosek tuż do przedmieść przytykających. Lecz gdy mieszczanin Lwowa, ten z klasy najniższej, pod względem obyczajowym i majątkowym zasympilował się w ciągu lat ze społecznością miejską, a chłop podmiejski przez stykanie się z miastem przesiąka nim i wytwarza półchłopski proletariát – typowy przedmieszczanin zanika powoli i wkrótce będzie okazem szczątkowym.

Tak więc przedmieszczanie lwowscy zanikają. Rozszerzające się miasto nie wypiera ich poza swe granice ani ich nie wchłania. Gdy popatrzymy na dzisiejsze eleganckie dzielnice, kamienice, wille i pałacyki, stojące na miejscu dawnych parterowych domków z ogrodami i sadami, pytamy, co się stało z mieszkańcami tych domostw, gdzie się przeniósł siedziby tamtych ludzi? Bo w tym samym stosunku, jak się wielkie miasto ku rogatom wyciąga, nie zabudowują się przestrzenie pozarogatkowe, które powinny być osiągnąć już wiosek podmiejskich.

Na ok. 40 lat przed erą autonomiczną\* zaczyna się nowa epoka rozwoju Lwowa. Zaczynając od Żółkiewskiego, pójdziemy wokół miasta, kreśląc linię, gdzie się poczynało życie przedmiejskie.

Na Żółkiewskim zaczynało się od ulicy św. Marcina i poza górę Zamkową

sięgając, wnikało w miasto od połowy ulicy Teatyńskiej i Wojciecha, obejmując zarazem górną część Zniesienia.

Na Łyczakowie początek swój brało od kościoła św. Antoniego. Dzisiejsze podcmentarze z ulicą św. Piotra, Pijarów i Cetnerówką – było to jądro przedmieścia. W dalszym ciągu szedł pas przedmiejski w ulicę na Rurach (dziś Kochanowskiego) aż po pasieki Halickie – ulicą Zieloną od dzisiejszej Wagilewicza – Stryjską (dziś Zyblikiewicza) od ulicy św. Marka – całą okolicę Cytadeli – i dotykał do Wulki, a za nią obejmował Bajki aż po Gródecki cmentarz. Gródeckie mniej więcej od dzisiejszej ulicy Józefata, Janowskie w jego całej rozciągłości, Kleparowskie do rogatki, a wreszcie Zamarstynowskie po rogatkę, to były już szczerze przedmieścia. Jak oazy na pustyni stały i tu gdzieniegdzie kamienice i gmachy fabryczne lub młyny i browary, nie psuły one jednak charakteru przedmieść i ich wyglądu. Obce też były mieszkańcom przedmieść te oazy i tolerowane przez nich (jak i ich właściciele) jako intruzy.

Idąc tym porządkiem, spostrzegamy, że z dzielnicy Żółkiewskiej dawnych przedmieszczan wyparł żywioł żydowski. Resztki przedmieszczan tuła się jeszcze w tyle, ku błoniom Zamarstynowskim i na Zniesieniu. Z ulicy Teatyńskiej zniknęli zupełnie. Na Łyczakowie granica przedmieścia przesunęła się do ulicy Ubocz, a z drugiej strony do górnej Pijarów. Na Rurach pozostała im zaledwie górna część Pohulanki. Zielona ulica, do niedawna jeszcze dzielnica martwa, tuli w swej górnej części ludność przedmiejską w nędznych ruderach z czasów, gdy ulica ta była głównym traktem do Kołomyi i dalej na południowy wschód. W dzielnicy ku Stryjskiemu trzymają się jeszcze na Snopkowie i Żelaznej Wodzie i trochę na Zofiówce. Na Stryjskim zaledwie resztki, na Bajkach i Wulce posunięci aż ku błoniom Kulparkowa. Charakter Gródeckiego zmienił się

doszczętnie, to samo w znacznej części Janowskiego, a Kleparów i Zamarstynów z uczciwych przedmieść zmieniły się przeważnie w kolonie złodziejskie „pobytwców”. Dawni przedmieszcianie zwyrodniali i znikli prawie zupełnie.

To znikanie dawnych przedmieszcian z widowni warte jest, aby mu poświęcić miejsce w szkicu historycznym i obyczajowym Lwowa. Jeżeli bowiem ma swą historię stan szlachecki, ma ją stan mieszczański, nie można przejść do porządku nad stanem od wieków osiadłym u bram i murów grodu, stanem rdzennie polskim lub ruskim, zruszczałym z dawnych polskich osadników.

Jeżeli mowa o stanie przedmiejskim, to zaznaczam, że lwowscy przedmieszcianie byli przed dwoma wiekami przeważnie osadnikami, albo na miejskich łanach, albo na jurydykach szlacheckich, sprowadzonymi „na wolę” w miejsce zagarniętych przez zagony tatarskie ruskich chłopów, którzy z osad zbiegli w inne strony. Byli to więc po prostu wolni chłopci, z Mazur przeważnie, lub jak np. na Zniesieniu, osiedleni i udarowani wolnością jeńcy tatarscy, którzy dość szybko złączyli się z tutejszą ludnością i grecki przyjęli obrządek. Mazurski typ zachował przeważnie na górnym Łyczakowie, Cetnerówce, na Mazurówce i Pasiekach, a także na Janowskim. Rezolutność, gorąca krew mazurska, zmysł do handlu i przemysłu, są to do dziś wybitne cechy tego pokolenia, acz mocno już skrzyżowanego. To samo można powiedzieć o strojach, pieśni i tak typowym „łyczakowskim krakowiaku”, gdzie narodowe cechy i motywy ruskie nie zdołały sobie zdobyć obywatelstwa. To samo z obrzędami rodzinnymi, uroczystościami.

Po zmianach politycznych w Galicji, a więc i we Lwowie, zniknęły jurydyki szlacheckie. Mury warowni miejskich runęły pod kilofami reformatorów, a rozwojowi miasta otworzył się szeroki horyzont. Na miejscu dawnych jurydyk i posesji patrycjatu zjawiły się przedmieścia. Na miejscu dawnych osadników, na Wołach i Wólkach – przyszli przedmieszcza-

nie, wykupiwszy grunty, na których siedzieli na prawie osadnictwa.

Stosunek przedmieść do miasta musiał po usunięciu murów przybrać inne formy – zaczęło się prawdziwe życie przedmieść i przedmieszcian.

\* \* \*

Opisując przedmieścia szczegółowo, należy zaczynać po starszeństwie. Bezspornie starsze było przedmieście Krakowskie, jako najbliższe staremu podgrodziu księcia, lecz musi ono ustąpić pod wieloma względami Łyczakowowi, bowiem on, jako rdzeń dawnego przedmieścia Halickiego, dał typ innym lwowskim przedmieściom. Powstanie swe datuje też od czasów kazimierzowskich, a w dokumencie przyznającym łyczakowiakom kompleks gruntów na Pasiekach, są powołane przywileje Jagiellonów.

#### ŁYCZAKÓW

*Tam na Łyczakowie*

*rośnie biała brzoza.*

*Łyczakowski chłopiec*

*urwał się z powroza.*

Tymi słowami charakteryzuje jeden z niezliczonych wariantów tzw. łyczakowskiego krakowiaka najmłodsze łyczakowskie pokolenie. Nie można tego odnosić do ogółu mieszkańców Łyczakowa, którzy wyszedłszy z młodych lat, stają się dzielnymi obywatelami.

Łyczaków... Jeśli o nim mowa, nie mamy na myśli ogromnej dzielnicy IV Lwowa, liczącej ok. 10 000 mieszkańców. Mówimy o tym



Dworek Rewakowiczów na Łyczakowie.  
Wg akwareli Bieszczada, w: F. Jaworski,  
Lwów stary i wczorajszy

popularnym, szeroko pojętym „Łyczakowie”, dawniej rozległym, dziś wielkomiejską kulturą zamkniętą w prostokącie, zaczynającym się od ul. św. Piotra, a kończącym się pół kilometra za rogatką „Na Jałowcu”. Tam bowiem gnieźdzą się ostatni Mohikanie Łyczakowa, przed laty 40\*\* niepodzielnie panujący na całym przedmieściu. Dziś – zasymilowani przez żywioł miejski lub wyparci poza obręb przedmieścia, gdzie przeważnie utracili swój odrębny charakter.

Rodowity łyczakowianin ma swój wybitnie lokalny patriotyzm i uważa się za coś nieskończenie wyższego od przeciętnego mieszkańca miasta, którego... toleruje. Gdy jeszcze tramwaj nie zawiózł cywilizacji na górny Łyczaków, miejski „kaban”, zapuściwszy się samopas „na piaski”, nie był pewien, czy wróci bez guza na czole lub podbitego oka. I spotykało to miejskich paniczków, a to dlatego, że się tutejszemu wyrostkowi nie podobała czyjaś facjata. Było to pretekstem przeciw wdzieraniu się „miasta” na terytorium Łyczakowa. Ostatni protest przeciw cywilizacji wygłosiła obywatelka Łyczakowa górnego, robiąc tramwajowi pierwszemu niemożliwą fizycznie do wykonania propozycję, z odpowiednimi gestami.

Typ łyczakowianina rodowitego to typ wybitnie mazurski i choć wiekowe życie z Rusinami odmieniło go nieco, przecież nie zdołało go wynarodowić. Strój przetrwał w części tylko, ale została charakterystyczna czapka „z siodełkiem”, rodzaj maciejówki, tak samo jak gładkie owiązanie głowy u starszych kobiet. Są to jednak okazy szczątkowe. „Arystokracja” starego Łyczakowa albo śpi na cmentarzu, albo straciła swe cechy i niemal na palcach można ich policzyć.

A więc krupiarze: Tabakiewicz-Dobrzańscy, Kijaki, Rewińscy, Marciniaki, Dobrowolski, Osińscy, Kobyłaki, Landmani, Ledzińscy, Porady, Kozaczewscy, Goreccy, Juszczycki, Barańscy. Z rzeźników: Laszkowski, Razińscy, Niewiadomscy. Garbarze: (śląd po nich nie został), Matusiewicz.

Łyczakowianie, jak na potomków Mazurów przystało, są bardzo pobożni, czego ślady w fundacjach kościoła parafialnego św. Antoniego i cerkwi św. Piotra dla garstki Rusinów z dawnego kościoła oo. Paulinów przemieniona (na rozkaz cesarza Józefa II). Pobożność ta jednak nie przeszkadzała im

wierzyć w czary i gusła. W ogóle wyznają, że dobrze żyć w zgodzie z Panem Bogiem, ale i diabłu należy oddać co się należy. Na zabobonność tę złożyło się wiele danych, w pierwszym rzędzie otoczenie osady. Z jednej strony puste wzgórze „Kajzerwaldu”, ulubione miejsce samobójców-wisielców, a z drugiej wydmy piaszczyste tzw. łyczakowskiej góry z diabelskim młynem na szczycie (dziś park). Do tego jeszcze cmentarz...

Niewielu lwowianom tkwi w pamięci ta rudera, zwana „młynem diabelskim”. Jakś niefortunny przemysłowiec, korzystając z wiatrów wiejących silnie na łyczakowskiej górze, zbudował tam z cegieł i kamieni wiatrak. Młyn ten żył krótko. Postawiony na wzgórze, w miejscu gdzie się wiatry przeciwnie krzyżowały, nie był w stanie pracować. Skrzydła łamały się ustawicznie, robota ustawała, aż właściciel zbankrutował i nie zatroszczył się nawet o rozebranie budynku. Opustoszała rudera, a lud z latami wymyślił sobie podanie, że diabeł tam zamieszkał i mleć nie pozwala.

Opóźniony przechodzień stronił tedy od diabelskiego młyna, zwłaszcza nocą, gdy przez otwarte okna i wrota wiatr hulał i jęczał jak potępieniec. Strach przed diabłem wyzykiwali awanturnicy i rzeźmieszki i przez długie lata służył im młyn za schronienie przed pogonią.

Mimo cmentarnego sąsiedztwa wieczorami na ulicach Łyczakowa górnego, zwłaszcza na Mazurówce i Cetnerówce, do cmentarza przytykających, rozbrzmiewają tony harmonijek ustnych, nieodłącznego instrumentu łyczakowskiego młodzieńca. Harmonijka to jedyna przyjemność po ciężkiej i różnorodnej pracy obywatela przedmieścia. Różnorodnej, bo rodowity łyczakowianin, jako potomek Mazurów, jest „do wszystkiego probant”.

I tak rzeźnikiem – jest w zimie, o ile nie jest krupiarzem, co jest zajęciem stałym. W lecie idzie na „mularkę”, albo jako podmajstrzy albo czeladnik. Ci, jeśli nie mają roboty w rzeźnictwie, pracują sezonowo. Przed Bożym Narodzeniem przez parę tygodni budują szopki, następnie sprzedawane na rynku i na placach. Ulubionym zajęciem jest hodowla gołębi, uprawiana jako sport, ale i na handel. Do ubocznych zawodów należy też handel ptaszkami śpiewającymi

mi, łapanymi w siatki i samotrzaski. Nigdy nie brak na nie amatorów i policja nie potrafi opanować tego rynku. Ptasznik nosi towar... w kieszeni.

Idzie na plac Strzelecki, gdzie jest targowica ptasia. – *Może pan dzwońca kupi?* – Patrzysz gdzie ten dzwonec, a oto z kieszeni kurtki on pokazuje ci główkę ptaka. Nie chcesz dzwońca, on sięga do drugiej kieszeni i zachęca: – *Ładny czizik.* – Masz do wyboru, bo w każdej kieszeni chłopaka jeden ptak siedzi. Dawne dobre czasy minęły, bieda na przedmieściu to rzecz nie nowa i znana. Za czasów analfabetyzmu lepiej działa się na Łyczakowie i może dlatego młóddz tylko do szkoły chodzi, a nauczyciele od św. Antoniego i Zimorowicza krzyż pański mają z miejscowymi latoroślami.

Ojcowie tych latorośli woleliby użyć dzieci do rozwożenia piasku. Inna rzecz, że szkoła może wypoleruje nieco mózgi i obyczaje, ale nie odczyta łyczakowian nigdy właściwego im akcentu, słynnego na całą Polskę.

Osada czysto piaskarska od wieków – to Mazurówka. Rozsiała się jako przedłużenie ulicy Pijarów, od wschodniej strony cmentarza, z jednej strony zamknięta Cetnerówką, z drugiej Pohulanką. Piasek eksploatowano z pobliskiej góry piaskowej, a nie ma we Lwowie człowieka, którego by z drzemki poobiedniej nie zbudził charakterystyczny pisk chłopca piaskarskiego „piałask trze!”

Piaskarz z Mazurówki nie pojmuje zabawy bez śpiewek i harmonii. Instrument ten jest celem marzeń chłopaka piaskarskiego i choćby nie miał butów na nogach, kupi sobie harmonijkę za uciętane guldeny, kosztem własnego żołądka. Lud to zawałdiacki, każdego „surdułowca” zaczepi bez powodu, choćby szedł z kobietą. A już biada młodzieńcowi z miasta, gdy za dziewczyną z Mazurówki tu skieruje kroki. Będzie obity niemiłosiernie! Bójki i pijaństwo grubo są zakorzenione między „narodem”. Dziś, gdy bieda zagląda na przedmieścia, animusz wojenny nieco ostyga.

\* Era autonomiczna zaczęła się w latach 1860., czterdzieści lat wcześniej – to zapewne lata 20. XIX wieku.

\*\* jak wyżej

## SŁOWNIK GEOGRAFICZNO- HISTORYCZNY

### BORYSLAW

**Położenie.** Miasto w pow. drohobyckim, wojew. lwowskim, na jego pd.wsch. krańcu. Położony w obrębie Pogórza Karpackiego nad rzeczką Tyśmienicą (dopływem Dniestru). Związany z pobliskim Drohobyczem lokalną linią kolejową. W 1939 r. liczył 45 tys. mieszkańców. W okresie międzywojennym był głównym ośrodkiem górnictwa i przemysłu naftowego w Polsce. Wrz z Tustanowicami i Mażnicą dostarczał 75% krajowego wydobycia ropy naftowej.

**Historia.** Założycielem wsi Boryslaw był w średniowieczu prawdopodobnie rycerz Boryslaw, zaś w 1387 r. królowa Jadwiga nadała wsie Boryslaw i Tustanowice Jurkowi i Ananiaszowi Dobrosławiczom.

Na przełomie XIX/XX w. w Boryslawiu i okolicznych miejscowościach odkryto bogate złoża ropy naftowej. Podjęta eksploatacja spowodowała szybki wzrost zaludnienia oraz chaotycznej i biednej zabudowy w tej okolicy. W latach 1930–33 Boryslawowi nadano prawa miejskie, włączając doń sąsiednie gminy wiejskie: Banię Kotowską, Hubicze, Mraźnicę i Tustanowice, tworząc zarazem tzw. Wielki Boryslaw. Boryslaw stał się największym pod względem liczby ludności i obszaru miastem w powiecie drohobyckim.

Pierwsza samodzielna parafia w Boryslawiu powstała w 1928 r. na terenie Tustanowic-Wolanki; wcześniej, od 1890 r., istniał tu kościół filialny, podległy parafii drohobyckiej. W następnych latach powstały kościoły filialne w Mraźnicy i Hubiczach.

(JR)

### Dzielnice Boryslawia

Centrum Boryslawia stanowi most na Tyśmienicy, zwany *barabskim*, skąd rozchodzą się drogi: na pd. zach. do Mażnicy, na pn. zach. do Bani Kotowskiej obok kopalni wosku, na wsch. do Tustanowic i na Wolankę oraz trakt drohobycki na pn. wsch. do Hubicz i dalej do Drohobycza.

**BANIA KOTOWSKA.** Pierwotnie wieś o nazwie Bania (XVI w.), co oznaczało w regionie karpackim

Tadeusz Krzyżewski

# „ŚWIRKI” LWOWSKIE

Do galerii typów i typków, charakteryzujących naszą lwowską zbiorowość, należy przed innymi lwowski „świr”. Każde miasto, a niejeden kraj ma swoich wariatów i pomysleńców. Ma ich i Lwów dziś\*, tak jak miał od bardzo dawna. Psychologiczne podstawy zjawiska streszczające się w pytaniu: skąd się wzięły „świrki” lwowskie? – nie zawsze dadzą się stwierdzić. Obserwacja notuje fakty, a przyczyny tylko częściowo może przeniknąć. „Świrki” są to lwowskie wariaty, zwane czasami „durnymi” albo „pomylnymi”, choć nie zawsze bywają zupełnymi wariatami, a często zręcznymi, pełnymi werny dowcipnisiami udającymi wariatów dla różnych celów.

„Świrków” można podzielić na koronnych, wielkiego stylu, na nieszkodliwych, tępych pospolitaków, na przyglupków, którym tylko czegoś nie dostaje, na towarzyskich i odludków-introwertyków, jowialnych i hipochondryków, muzycznych, uzdolnionych twórczo i zwyczajnych „świrków” ulicznych. Łączy ich wszystkich upodobanie w wędrówkach po ulicznej agorze Lwowa, poszukiwanie szerokich przestrzeni do wyżycia się, świadome wyodrębnianie się od tłumu, mimo że czasem szukają celowo popularności w gromadzie i – stała śmieszność, powodująca, iż stają się tematem i ośrodkiem humoru ulicznego, anegdota, często piosenki rodem z przedmieścia, a nawet bywają bohaterami okolicznościowej poezji, ba – nierzadko jej twórcami. Niestety, sława ich jest krótkotrwała, mija z jednym sezonem popularności, a oni sami – podobnie jak wielu geniuszów, z którymi mają niejedno wspólne – wychodzą z obiegu i ulegają zapomnieniu. Stają się często rekwizytem pospolitym ulicy, na który nie zwraca się uwagi. Stanowią jednak najznamienitszy składnik etnicznego tworzywa Lwowa i dlatego zasługują na uwagę.

W dawnych czasach – o tych najdawniejszych osobno pisać by trzeba – w czasach

austriackich był na poły mityczny już dziś durny Jasio, syn grajzlerki\*\* z okolic Starego Uniwersytetu. Chodził schylony ku przodowi, z rękoma powpychanymi w rękawy, cmił resztki skórzanych cygar, które wyłudzał od młodych dandysów pod Hotelem George’a lub pod cukierniami, a gdy usłyszał, jak „banda gra”, idąc z wojskiem na ćwiczenia czy na paradę, podbiegał do „Regimentstambora” i do taktu maszerował ku ucieście ulicy. Lubił dialogi mówione i śpiewane z samym sobą. Każdy „świr” ma swą odrębną „specjalność”, która go różni od innych „świrków” i indywidualizuje. Bywa, że pewne „świrki” mają jednak wspólne „specjalności”.

Durny August, który stał się we Lwowie przysłowiowy ze swego śmiechu, zaśląnął jako lowelas, zaczepiający przystojne niewiasty, samotnie wędrujące po ulicy, podobnie jak „pan kapitan”, noszący bluzę ułana austriackiego i zaczepiający salutowaniem przypadkowo mu w oko wpadłych przechodniów. Był potem posępny „karawaniarz”, ekscentryczny odludek i hipochondryk. Chodził w obszernej u dołu, czarnej ongiś, dekadencej pelerynie, w powycinanym cylindrze, nosił przed sobą z namaszczeniem podniesioną na wysokość twarzy gałązkę choiny i celebrował pogrzeb. Rozgniewany przez pauprów, wpadał w szał, w którym wykrzykiwał swą życiową tragedię. Ona to zapewne przyprowadziła go o obłąd.

Durny Ignasz grywał na skrzypcach i harmonii u początków ul. Kurkowej, na Ruskiej i Rynku. *Ignasz! Zośka cię kocha!* – takim okrzykiem przyprowadzały go paupry uliczne do wściekłości. Do „durnych Ignasiów” Lwów miał szczęście i kilku ich pomieszał w ciągu kilku pokoleń.

Starsi lwowianie pamiętają dziwaka Przybylskiego. Jego specjalnością były orderzy jakiejś fikcyjnej kapituły, groteskowy ubiór z cylindrem przepasanym kolorową wstążką, spodniami w kolorze, lampasami i ostrogami. Był to „świr” wojskowy. Batiarów napaśujących go gonili z podniesioną lagą i nie znosił, by go fiksować wzrokiem.

Ciemna Michalińcia siadywała z harmonią na małym stołeczku przy Kawiarni Wiedeńskiej albo koło sklepu Starka. Miała cudacznie skręcony kok pod niemodnym kapelusikiem i śpiewała ochryplą fistułą. Ciemne okulary kryły jej oczy, którymi wpatrywała się w coś niewidzialnego dla reszty przechod-

niów. Durny Lajbuś zastąpił jako piosenkarz uliczny. Jego repertuar pochodził z własnego pomysłu i natchnienia niewybrednej muzy przedmieścia. Jego ulubiony refren *Buwajcie zdrowa* stał się na jakiś rok „przygaduszką” przysłowiową lwowian. Pojawiły się nawet te jego twory wydrukowane w ulotkach przez nieznanego nakładcę i krążyły pomiędzy amatorami poezji ludowej, aż idąc śladem jej tradycji zniknęły bez śladu – rozczytane i wyśpiewane do końca.

Obecnie ma okolica ul. Snopkowskiej i Dwernickiego swego „świrka” – Sieniutę. Chodzi ciężkim krokiem pochylony ku przodowi, twarz ponura, postawa „robiona na siłacza” w lecie półnagi lub w koszulce gimnastycznej, ręce potatowane, na głowie mycka bolszewicka kolorowa lub fryzura z mokrej ondulacji. Za czasów bolszewickich dostał kilka razy lanie kijami za swe piosenki okolicznościowe, które sam komponuje. Jedyną ich śmieszna stronę stanowi to, że bajdurzą od rzeczy. Jego ulubiony wykrzyk – *Nie bądź taki mocny!* – rozbrzmiewa nieraz w ciemności wieczoru, gdy pijany wraca na swe kąpielisko (Żelazna Woda), gdzie pracuje i mieszka. Jest to „świrk”-kirus. Pono częściej udaje „świrka”, by swego bzika wykorzystać do celów szybkiej i skutecznej aprowizacji, co mu się udawało zwłaszcza w „ogonkowych” czasach bolszewickich, bo na odczepne dawano mu prowiant bez kolejki. Szafuje do tego niewybrednymi lwowskimi przekleństwami.

Jest w tej dzielnicy jeszcze jeden mały, koboldowaty „świrk-ekspres”. Odnacza się doskonałym, samorodnym i spontanicznym dowcipem i rzechotliwym śmiechem. Prowadzi stale monologi z całą ulicą i zawsze jest wesół.

Oto i cała galeria „świrków” lwowskich, nie licząc pomniejszych. Jest jeszcze wśród ludku lwowskiego, zwłaszcza między przepukniami, wielu „pół-świrków” prawdziwych lub robionych. Ich humor wyładowuje się przy sposobności zetknięcia z klientem w formie reklamowania towaru lub okolicznościowymi „powiedzzonekami”. Jak wszystkie „świrki” – mają poczucie wyższości i upodobanie w jakiejś formie charakterystycznej wystąpienia. Pewna kupcowa przy ul. Jabłonowskiej zastąpiła z dowcipów, jakimi traktowała bolszewickie *madam towarzyski*. W ogóle na bolszewikach używała sobie ulica w dowci-

kopalnię, dół, a także słone źródło, warzelnię soli. W XVIII w. upowszechniła się nazwa dwuczłonowa, prawdopodobnie od nazwiska Kot. Bania Kotowska rozwinęła się i zyskała znaczenie na przeł. XIX/XX w. w związku z wydobyciem ropy naftowej i wosku na większą skalę. (JR)

**HUBICZE.** Nazwa pierwotna Hubicze Siolo (nazwa od *huby* – gęby). Pierwsza wzmianka o wsi pochodzi z 1441 r. Od ostatniej ćwierci XIX w. życie wsi koncentrowało się wokół stacji kolejowej (na linii między Drohobyczem a Boryslawiem), na której stały gotowe składy wagonów-cystern, oczekujących na napełnienie ropą i jej wywóz do podkarpackich rafinerii. Wydobywaną ropę magazynowano w wielkich rezerwuarach, położonych przy trakcie drohobyckim, skąd ropociągami włączano je do cystern wagonowych.

Hubicze stanowiły ponadto zaplecze gospodarcze dla Boryslawia. Obok dworca Powszechna Spółdzielnia Spożywców miała swoje magazyny i własną bocznice kolejową; stąd rozwożono towary zaprzęgami konnymi do 22 sklepów PSS, rozrzuconych po rozległych połaciach Wielkiego Boryslawia. W tej dzielnicy były zlokalizowane ponadto inne obiekty przemysłowe, m.in. fabryka maszyn i narzędzi wiertniczych, oraz magazynowe.

W Hubiczach poświęcono kościół filialny w 1936 r., wedle projektu arch. Wawrzyńca Dayczaka. Zamknięty dla wiernych w 1946 r. i użytkowany jako magazyn soli, został rozebrany w latach 1970. (HG)

**MRAŻNICA.** Dawna wieś, położona jest w dolinie Tyśmienicy, przy głównej drodze z Boryslawia do Schodnicy i dalej w głąb gór. Jej nazwa wynika z fizjografii terenu i oznacza *bagno, błoto*. Centrum wsi stanowiły budynki firm górniczych oraz zabudowa handlowa i społeczna, w tym kościół filialny, szkoła.

W sąsiedztwie Mażnicy wznosi się góra Horodyszcz (646 m n.p.m.), a na jej zboczach stały obiekty mieszkalne: wille oraz tzw. kasarnie, czyli budynki wielorodzinne. Obszar był w większości uzbrojony w sieci instalacyjne.

Kościół filialny, zaprojektowany przez arch. W. Dayczaka, został poświęcony w Mażnicy w roku 1934. Murowany, w 1990 r. przekazany prawosławnym. (WK)

**TUSTANOWICE.** Nazwa tej dzielnicy, dawnej średniowiecznej wsi, pochodzi od zamku Tustań, zniszczonego w 1241 r. przez Mongołów i odbudowanego przez króla Kazimierza Wielkiego. Resztki tej legendarnej fortecy są do dziś czytelne w okolicach Tustanowic i wsi Urycz.

pach, wierszykach humorystycznych i anegdocie. Wiadomo, że lwowscy bracia ochrztili ulicę Łyczakowską *Dawaj na zad*.

Przyczyną popularności lwowskich „świrków” jest najczęściej oczywiście ich humor, dowcip, piosenka aktualna, wyczyny błazeńskie. Wiadomo: *naród lubi hecy*. Poza tym po staremu ludzie cieszą się, widząc coś wykraczającego z form powszechnej rzeczywistości, co stawia na głowie utarte pojęcia o normalności, z czego można się pośmiać, bo i tak „cudzym kosztem”. Można poddać się na chwilę złudzeniu, że zajrzało się razem z wariatem w wyłom uczyniony w szarej ścianie życia powszedniego i znalazło się w krainie bezsensu i beztro-

ski – niedorzecznej, ale radosnej. Dowcip i humor „świrków” i „pół-świrków” lwowskich, mimo że mija bez śladu, daje nurtowi życia swoisty rytm i wyrazisty akcent wybija na taktach dziwnej pieśni, jaką gra, mimo że większość ludzi tego nie słyszy – każdy dzień powszedni.

\* Zastosowany przez autora czas teraźniejszy dotyczy najdalej czasów sprzed połowy roku 1945.

\*\* grajzler = sklepikarz

*Powyższy tekst był publikowany w „Gazecie Lwowskiej” z 16.05.1943 r. pod sygnaturą T.K.*

## SYLWETKI

### Profesor Ernest Till (1846–1926)

Urodził się w Brzeżanach, jako syn Józefa i Marii z Winklerów. Uczęszczał do gimnazjum we Lwowie, studiował prawo i ekonomię na Uniwersytecie Lwowskim, w 1871 r. uzyskał doktorat prawa. Rozpoczął pracę w Prokuraturii Skarbu, a równocześnie praktykę kandydacką do adwokatury. Od 1878 r. prowadził znaną kancelarię adwokacką we Lwowie. Od 1873 r. wykładał *prawo rolne* na Akademii Rolniczej w Dublanach oraz *prawo leśne* w Szkole Gospodarstwa Leśnego we Lwowie. Habilitował się w 1877 r. na Uniwersytecie Jagiellońskim, po czym został docentem w katedrze prawa cywilnego na Uniwersytecie Lwowskim. W 1888 r. został profesorem tytularnym, a w 1905 r. zwyczajnym, rezygnując zarazem z adwokatury. Kierował katedrą prawa prywatnego (jeszcze austriackiego), w r. 1906/07 był dziekanem wydziału prawa. W 1920 został profesorem honorowym, ale wykłady prowadził do końca życia. Zmarł we Lwowie, spoczywa na Cmentarzu Łyczakowskim.

Prof. E. Till był członkiem Polskiej Akademii Umiejętności, Towarzystwa Naukowego

Warszawskiego, Towarzystwa Naukowego we Lwowie, w 1926 r. otrzymał doktorat *honoris causa* Uniwersytetu Lwowskiego. Posiadał najwyższe odznaczenia austriackie i polskie.

Profesor Till w swej pracy naukowej zajmował się prawem cywilnym – rzeczowym, spadkowym, prawem zobowiązań. Był twórcą lwowskiej szkoły prawa prywatnego, z której wywodził się szereg znakomych prawników lwowskich: Roman Longchamps de Berier, Kazimierz Przybyłowski, Alfred Ohanowicz, Aleksander Doliński (zob. także *Książki*).

### Profesor Władysław Abraham (1860–1941)

Urodził się w Samborze, studiował na wydziałach prawa i filozofii Uniwersytetu Jagiellońskiego, specjalizował się w kanonistyce na uniwersytecie berlińskim, habilitował na UJ. W 1886 r. objął katedrę prawa kościelnego na Uniwersytecie Lwowskim, którego był później rektorem. Był także członkiem Polskiej Akademii Umiejętności i Towarzystwa Naukowego we Lwowie. Zorganizował badania w archiwum watykańskim nad źródłami związanymi z Polską. Brał udział w komisji ministerialnej, przygotowującej projekt konkordatu między Rzeczpospolitą Polską i Stolicą Apostolską. Współtworzył polskie prawo małżeńskie. W 1931 r. Uniwersytet



Poznański obdarzył go tytułem doktora *honoris causa*.

Profesor W. Abraham był ojcem generała Romana Abrahama.

# Gwido Borucki

W Australii zmarł **Gwidon Borucki** (Gwidon Alfred Gottlieb), muzyk, piosenkarz, aktor, w czasie II wojny światowej żołnierz Armii Andersa. Na szczególną pamięć Rodaków zasłużył się przede wszystkim pierwszym wykonaniem *Czerwonych maków na Monte Cassino*, nazajutrz po zwycięskiej bitwie, dla żołnierzy 12 Pułku Ułanów Podolskich.

Borucki urodził się w 1912 r. w Krakowie, a lata dziecięce i szkolne spędził w Przemysłu, potem rok studiował na WSHZ we Lwowie. Jednak niebawem związał się z teatrykami warszawskimi jako muzyk i piosenkarz.

Po wybuchu II wojny przedostał się do Lwowa, gdzie – obok artystów warszawskich – uciekinierów nadal występował w teatryku, stworzonym za zgodą Sowietów, objeżdżając z nim republiki ZSRR. W 1942 zespół polski wyostał się z Rosji sowieckiej.

Borucki wstąpił do teatru wojskowego *Polska Parada* i wraz z nim wizytował oddziały WP na Zachodzie. W marcu 1944 r. zespół znalazł się we Włoszech, gdzie trwały walki, uwieńczone zwycięstwem na Monte Cassino. To on pierwszy zaśpiewał na koncercie po bitwie *Czerwone maki*, napisane w ciągu nocy przez Ref-Rena i skomponowane przez lwowiaka Alfreda Schutza.

Po wojnie osiadł w Londynie. Występował w polskich ośrodkach w Anglii i Szkocji, także z artystami Lwowskiej Fali, pracował w BBC, zagrał w ponad 40 filmach wojennych.

Na przełomie lat 50/60. grał w Australii i tam już pozostał, osiadł w Melbourne. Był do starości aktywny w rewiach, kabaretach, telewizji.

Dożył 98 lat. Zmarł w Melbourne z końcem 2009 roku. Rękopisy tekstu i muzyki *Czerwonych maków* zostały złożone w Instytucie im. gen. Sikorskiego w Londynie.

W skład Tustanowic wchodziły również dawne przysiółki Ponerle i Wolanka. W Wolance wzniesiono w 1902 r. murowany kościół pw. św. Barbary wedle projektu arch. S. Majerskiego. Kościół stał się główną świątynią rzym.kat. parafii borysławskiej. Zamknięto go w 1946 r., a w latach 1990. oddano prawosławnym, potem grekokatolikom. Jako miejsce kultu rzym.kat. służy obecnie prowizoryczna kaplica zbudowana w latach 1990. na terenie zlikwidowanego zabytkowego cmentarza polskiego. Obecnie na Wolance zaawansowana jest budowa kościoła pw. MB Nieustającej Pomocy (w pobliżu dawnego kościoła). Parafia borysławska zachowała wezwanie św. Barbary.

W kościele parafialnym w Borysławiu duszpastrzami byli m.in. ks. Władysław Findysz, beatyfikowany w 2005 r., oraz późniejszy bohaterski proboszcz borysławski ks. Andrzej Osikowicz, zesłany za pomoc Żydom do obozu w Majdanku, gdzie zmarł w 1943 r. (JR)

## CHLEBOWICE

Wieś w pow. bóbrskim, wojew. lwowskim, położona w odległości 6,5 km na pld.zach. od Bóbrki. Stacja na linii kolejowej Lwów–Czerniowce. Siedziba parafii rzym.kat. znajdowała się w Starym Siole, parafia gr.kat. w miejscu. W 2. połowie XIX w. działała tu hamernia miedzi. Chlebowice należały w tym czasie do dóbr hr. Alfreda Potockiego. (MT)

## DROHOBYCZ (2)

[omówienie podstawowe w CL 1/03]

## Dzielnice Drohobycza

KOLONIA POLMINOWSKA. Była najmłodszą dzielnicą Drohobycza, a jej powstanie wiąże się z dynamicznym rozwojem w pierwszym dziesięcioleciu XX wieku przemysłu naftowego, który w zagłębiu borysławskim powstał w ostatnim dziesięcioleciu XIX wieku. Wielki wzrost wydobycia ropy naftowej skłonił polskie sfery przemysłowe do przekonania galicyjskich władz krajowych oraz rządu wiedeńskiego do konieczności rozbudowy zakładów przetwarzających olej skalny i jego wykorzystanie w gospodarce. Budowa i uruchomienie tych zakładów spowodowały potrzebę założenia kolonii domów mieszkalnych dla kadry fachowców i obsługi tych zakładów. Zarówno zakłady, którym po I wojnie nadano nazwę „Polmin”, jak i kolonia mieszkalna powstały po wsch. stronie miasta w rejonie głównego dworca kolejowego, w odległości ok. 3 km od centrum Drohobycza.

Kolonia Polminowska została wyposażona we wszelkie niezbędne obiekty i urządzenia socjalne, handlowe i kulturalno-oświatowe, stając się niemal samodzielną dzielnicą. (BBK)

# Z TAMTEJ STRONY

## Ucrainica

◆ Przed paroma miesiącami rozeszła się wiadomość, że administracja lwowska zamierza zezwolić na budowę hotelu klasy *lux* na... górze Cytadeli we Lwowie. Sfery kulturalne miasta (jednak takie są!) rozpoczęły energiczne działania, by nie dopuścić do podobnego nonsensu, a ich walka okazała się skuteczna! Otrzymaliśmy list ze Lwowa (z 1 III 2010), którego wolne tłumaczenie na język polski przedstawiamy:

**LWOWSKA PAŃSTWOWA ADMINISTRACJA ZABRONIŁA ZABUDOWY CYTADELI**

*Obwodowa Komisja do spraw upamiętnienia ofiar wojny i politycznych represji uchwaliła podjęcie starań o niedopuszczenie do zabudowy hotelarsko-gospodarczej na terenie historyczno-kulturalnego kompleksu „Cytadela” we Lwowie. Pozwolenie na tę zabudowę uchwaliła wcześniej Rada Miejska Lwowa. Poinformowała o tym służba prasowa Lwowskiej Państwowej Administracji [ODA]. Obwodową Komisję poinformowali w tej sprawie naczelnik wydziału ochrony historycznego śródmieścia Rady Miejskiej Lwowa Lidia Onyszczenko, a dokładnie też przedstawiciel CBU [?] J. Pełech. Obydwoje oparli się na archiwalnej dokumentacji mówiącej o działalności na tym terenie od 1941 do 1944 r. niemieckiego obozu pracy „Stalag 328”\*. W tym czasie na Cytadeli miała miejsce masowa zagłada jeńców wojennych. Oprócz członków Obwodowej Komisji w posiedzeniu brali udział przedstawiciele stowarzyszeń weteranów i innych organizacji, którzy jednoznacznie wypowiedzieli się przeciwko projektowanej zabudowie Cytadeli.*

\* W czasie okupacji niemieckiej na Cytadeli byli przetrzymywani m.in. jeńcy francuscy. Czy także inni? – nie wiemy. Może ktoś z Czytelników ma takie informacje?

◆ Nacjonaliści ukraińscy we Lwowie przystępują do kolejnej akcji antypolskiej: powołali komisję deputowanych z „rady obwodowej” w sprawie „nielegalnych” polskich pomników na terenie Lwowa i okolic.

Jako *szkodliwe i obrażające godność Ukrainy* uznano „Szczerbiec” na Cmentarzu Obrońców Lwowa, pomniki w Hucie Pieniackiej (odsłonięty w 2005 r.), na cmentarzu Janowskim, w Busku, Zadwórzcu, obeliski w Stryju, Złoczowie, Jaśniskach, Podkamieniu i parę innych, odnowione pomniki w Hołosku, Zboiskach, Malechowie; pomnik 64 polskich żołnierzy z 1939 r., pochowanych na tamtejszym cmentarzu.

Najbardziej gorliwymi rozrabiaczami są Ostap Kozak i Oleg Pankiewicz. Warto zapamiętać te nazwiska.

Uważa się, że opisane wysoki nie mają mimo wszystko szans realizacji. Zobaczmy.

## W Krakowie i dalej

◆ Przed kilkoma miesiącami w Kanadzie **zmarła tragicznie pani Jadwiga Cieślak**, członkini Zarządu Oddziału TMLiKPW w Krakowie. Nie mamy dotąd ścisłych informacji o Jej śmierci, a także o czasie pogrzebu, który podobno ma się odbyć w Krakowie.

Trudno nam się pogodzić z nieoczekiwanym odejściem Drogiej Koleżanki, z urodzenia Lwowianki, która od samego początku istnienia naszego Oddziału czuwała nad prawidłowością jego działania pod względem finansowym. Była wszystkim życzliwa i uczynna.

Wspomnienie o Niej zamieścimy po zebraniu niezbędnych informacji. Cześć Jej pamięci!

◆ W styczniu 2010 zmarł w Warszawie **Henryk Mozer**, lwowianin, muzyk, muzykolog.

Był synem profesora Politechniki Lwowskiej Wilhelma Mozera. Ze Lwowa wyjechał w 1958 r., krótko przebywał w Krakowie, potem osiadł w Warszawie. Wspomnienie

o Nim obiecała napisać dla nas wdowa, pani Ewa Makomaska-Mozerowa.

◆ Miesiąc później, z końcem lutego, zmarł w Krakowie **Henryk Ciechanowski**. W lwowskich latach Heniowie Mozer i Ciechanowski byli najbliższymi przyjaciółmi w szkole św. Marii Magdaleny...

Henryk Ciechanowski urodził się w 1930 r. we Lwowie, jako najmłodszy syn profesora Politechniki Lwowskiej Zygmunta Ciechanowskiego i Angielki. Niestety matka odumarała go przy urodzeniu, a wychowała dużo starsza, wspaniała siostra, pani Jadwiga Ciechanowska. Rodzina mieszkała przy ul. Nabelaka 55, w domu profesorów Politechniki Lwowskiej (mieszkali tam również prof. Stożek, Klemensiewicz i inni).

Po ekspatriacji Ciechanowscy osiedli w Krakowie. Henryk ukończył wydział konserwacji na Akademii Sztuk Pięknych. Jego specjalnością była konserwacja zabytkowych ksiąg.

Ojciec Henryka Z. Ciechanowski pochodził ze znanej rodziny krakowskiej, a ze Lwowem związał się przez Politechnikę, której został profesorem. Jego dzieci, jak to zawsze we Lwowie, były już lwowskimi patriotami. Na klepsydrze Henryka zaznaczono: Lwówianin. Szkoda, że nie wszystkie wielopokoleniowe rodziny lwowskie o tym pamiętają!

O lwowskiej gałęzi rodziny Ciechanowskich pisaliśmy w CL 2/97 i 3/07, a w CL 3–4/07 drukowaliśmy wspomnienia Jadwigi Ciechanowskiej.



Fragm. zdjęcia z I Komunii św. uczniów klasy II Szkoły św. Marii Magdaleny we Lwowie w 1939 r. Oznaczeni kółkiem, od lewej: Henryk Mozer i Henryk Ciechanowski

**LISZANIAŃSKIE.** Dzielnica położona w zach. części Drohobycza; jej nazwa pochodzi od pobliskiej wsi Lisznia. Intencją założenia przedmieścia – aktem fundacyjnym króla Stefana Batorego w 1578 r. – na polach przy gościńcu samborskim było osiedlenie rzemieślników i zakładanie ogrodów, a pozyskiwane z tego dochody miały być przeznaczone na ufortyfikowanie miasta. W 1896 r. wzniesiono tu budynek Gimnazjum im. Władysława Jagiełły oraz gimnazjum kupieckie. (JR)

**ŁAN.** Dzielnica usytuowana dziś w środkowej części Drohobycza, lecz poza ścisłym centrum. Starosta drohobycki Mikołaj Daniłowicz, umożliwiając Żydom budowę domów, przeznaczył im w 1616 r. obszar poza ówczesnym miastem, ponieważ we wnętrzu miasta osiedlanie się nie było im dozwolone. Obszar ten wyniósł 1 łan królewski (ok. 30 morgów = ok. 17 ha), stąd do powstałej osady, późniejszej dzielnicy, przylgnęła nazwa Łan.

W latach 1842–65 zbudowano tu monumentalną synagogę, jedną z największych w Galicji-Małopolsce, obecnie w ruinie. (JR)

**WÓJTOWSKA GÓRA.** Po lokacji miasta w 1422 r. i nadaniu Drohobyczowi przez króla Władysława Jagiełłę prawa miejskiego wg wzorów zachodnioeuropejskich (tzw. prawa magdeburbskiego) urząd pierwszego dziedzicznego wójta powierzony został rycerzowi Janowi Mężykowi, najbliższemu dworzaninowi króla do specjalnych zadań. Mężyk otrzymał w ramach bogatego wyposażenia m.in. 6 łanów frankońskich (1 łan fr. = 24,2 ha), prawo budowy dowolnej liczby młynów, łaźni oraz pobierania dużej części czynszów i kar sądowych, spłacanych królowi.

Jan Mężyk wybudował sobie dwór na wzgórzu obok królewskich salin, a osada powstała na 6 wójtowskich łanach przyjęła z czasem miano Wójtowskiej Góry. Nazwa ta pozostaje do dziś jako nazwa głównej ulicy dzielnicy. (JR)

**ZWARYCZ.** Dzielnica, niegdyś osiedle, położona w płd.zach. części miasta (położenie to odnosi się do stanu przedwojennego; w czasach powojennej okupacji miasto uległo nadmiernej rozbudowie, która zmieniła relacje względem centrum). Osiedle Zwarycz istniało już w średniowieczu (XI–XII w.) w miejscu, gdzie wydobywano i odparowywano solankę w celu otrzymania soli jadalnej; nazwa pochodzi od wyrazu *warzyć*. Osiedle to stało się historyczną kolebką Drohobycza, który formalnie założono w jego bliskim sąsiedztwie. Położenie Zwarycza wskazują na przedwojennych i powojennych planach miasta m.in. nazwy ulic: Słony Stawek,

# KULTURA NAUKA

## LWOWSKA BITWA POD GRUNWALDEM

W wawelskich pracowniach konserwatorskich został ostatnio odnowiony – przywieziony z obecnego Muzeum Historycznego we Lwowie – wielki obraz lwowskich malarzy Tadeusza Popiela i Zygmunta Rozwadowskiego *Bitwa pod Grunwaldem*, wykonany przed 1910 r., na pięćsetną rocznicę bitwy. Powodem wykonania drugiego – po matejkowskim – obrazu Bitwy pod Grunwaldem był brak zgody „Zachęty” w Warszawie, gdzie znajdował się (i nadal znajduje) obraz Matejki, na wypożyczenie go do Krakowa na obchody 500. rocznicy bitwy.

Drugi obraz powstał więc i był ekspozycyjny w Krakowie w 1910 r. w pawilonie zbudowanym na ten cel przy placu św. Ducha. Potem wrócił do Lwowa, jednak nie został wystawiony na widok publiczny. W 1989 r. prof. Zdzisław Żygulski odnalazł go w magazynach lwowskiego Muzeum Historycznego.

W tym roku przypada 600. rocznica Bitwy, zwrócono się więc do administracji we Lwowie o wypożyczenie obrazu na uroczystości rocznicowe w Krakowie. Uzyskano zgodę, a formą rewanżu (!) jest odnowienie techniczne i artystyczne płótna.

W Krakowie obraz zostanie pokazany w dzień rocznicy – 15 lipca br., potem we Wrocławiu i ośmiu innych muzeach RP.

## Kronika

◆ Prasa doniosła, że po długich staraniach powołano do życia w Rzeszowie Komitet Opieki nad Grobami Dziennikarzy Polskich na Cmentarzu Łyczakowskim we Lwowie. Utworzyli go dziennikarze związani z Polskim Radiem Rzeszów oraz z innych rzeszowskich mediów. Założyciele komitetu liczą na zainteresowanie ich inicjatywą i wsparcie w całej RP. Chodzi o to, by nie odeszła w niepamięć ważna część historii Polski za jałtańskim kordonem.

Grobów dziennikarskich jest na Łyczakowie zapewne kilkadziesiąt, ale nie można też zapomnieć o cmentarzu Janowskim, o cmentarzu w Tarnopolu (niestety cmentarz w Stanisławowie został przez sowietów doszczętnie zniszczony), w Drohobyczu, może w Samborze, Brodach...

◆ Z powyższą informacją koresponduje chwalebnie kolejna, przepisujemy:

*Uprzejmie informuję, że Fundacja Wspierania Reformy Prawa i Obrony Praw Człowieka we Lwowie wystąpiła z propozycją odnowienia grobów wybitnych polskich prawników: prof. Władysława Abrahama i prof. Ernesta Tilla, pochowanych na Cmentarzu Łyczakowskim. Jest to kolejna, po renowacji grobu prof. Juliusza Makarewicza, inicjatywa tego typu. W nekropolii łyczakowskiej spoczywa ponad sześćdziesięciu luminarzy polskiego życia prawniczego. Groby ich w wielu*

*przypadkach są w bardzo złym stanie. Biorąc pod uwagę powyższe, jak też mając na względzie słuszną realizację projektu dotyczącego pochówku prof. J. Makarewicza, honorowy*



„Bitwa pod Grunwaldem” T. Popiela i Z. Rozwadowskiego, w pracowni konserwatorskiej na Wawelu. Na pierwszym planie prof. Jan Ostrowski, dyrektor Wawelu

patronat nad wspomnianą inicjatywą objął Konsul Generalny Rzeczypospolitej Polskiej we Lwowie Grzegorz Opaliński. Wiadomo mi, że zarówno Fundacja, jak też Dyrekcja Cmentarza Łyczakowskiego nie dysponują dostatecznymi środkami finansowymi. W tej sytuacji wsparcie udzielone przez polskie instytucje prawnicze będzie nieocenioną i jakże zaszczytną pomocą. Zgodnie z dotychczasową praktyką informacje o donatorach znajdują się na odnowionym nagrobku. We wszelkich sprawach związanych z ewentualną partycypacją w projekcie uprzejmie proszę o kontakt:

adwokat Tadeusz Piłat

Piłat i Partnerzy Kancelaria Adwokatów i Radców Prawnych, 00-048 Warszawa, ul. Mazowiecka 2/4; tel./faks +48 22 828 31 30, list@pilatpartnerzy.pl, www.pilatpartnerzy.pl

## CZYM BYŁ „POLMIN”

Rosnące gwałtownie na początku XX wieku wydobycie ropy naftowej w Borysławiu bardzo skomplikowało sytuację tego przemysłu. Nie bardzo było wiadomo, co robić z tak wielką ilością surowca. Brakowało zbiorników na ropę i zakładów rafineryjnych. Ówczesne kierownictwo przemysłu naftowego zwróciło się więc za pośrednictwem Koła Polskiego posłów zasiadających w parlamencie wiedeńskim, z prośbą o interwencję zarówno do autonomicznych władz Galicji, jak i do rządu austriackiego.

W wyniku tych starań rząd przyznał subwencję na budowę gigantycznych zbiorników na ropę, a przede wszystkim zdecydował się na opalenie lokomotyw kolejowych pozostałościami ropnymi. W tym celu zbudowano w Drohobyczu tzw. odbenzyniarnię (po niem. Entbenzinierung Anstalt), której zadaniem było oddestylowanie benzyny i nafty oraz dostarczanie kolei pozostałości ropnych na opał do lokomotyw. Odbenzyniarnia została uruchomiona w 1910 r.

W 1912 r. dyrektor Stanisław Piłat zwrócił uwagę na konieczność produkcji olejów smarowych i parafiny, na co wiedeńskie Ministerstwo Robót Publicznych dało pieniądze i w 1914 r. były już gotowe instalacje potrzebne do tej produkcji.

W wigilię Bożego Narodzenia 1919 r. rafinerię zajęło Wojsko Polskie i od tego czasu niemiecką nazwę zamieniono na Państwową Fabrykę Olejów Mineralnych „Polmin”. Stał się on własnością państwa polskiego.

Intensywna rozbudowa Polminu trwała do wybuchu II wojny światowej. W 1938 r. ukończono budowę urządzeń rurowo-wieżowej destylacji ropy, oddział odparafinowania ciężkich destylatów parafinowych,

Solna, Zwarycka, Żupna. Już w XV w. samorząd miejski Drohobycza obrał jako herb miasta 9 topek soli, które stanowiły tam tradycyjną miarę (ok. 2 kg) soli, od średniowiecza do połowy XX w.

W sąsiedztwie żup solnych na Zwaryczu znajdują się dwie zabytkowe XVII-wieczne cerkwie drewniane: pw. Podniesienia Krzyża Świętego (1661) oraz pw. św. Jura. (JR)

### OŻYDÓW

Wieś w pow. brodzkim, wojew. tarnopolskim, położona 20 km na płn.zach. od Złoczowa i 7 km na zach od Oleska. Leży na wys. 237 m npm. w dorzeczu Wisły, za pośrednictwem Sopotwiny, dopływu Bugu. Stacja kolejowa na linii Lwów–Brody. Mieszkańcy w czasie wolnym od prac rolniczych zajmowali się rzemiosłem (ciesielstwo, stolarka, szewstwo). Wieś należała do parafii rzym.kat. w Olesku, parafia gr.kat. była w miejscu.

W połowie XIX w. właścicielem Ożydowa był Karol Hubicki h. Sas, poseł na sejm galicyjski i delegat do Rady Państwa w Wiedniu. Założył przysiółek Angelówka (po płn. stronie wsi), nazwany od imienia żony, Anieli z Sierakowskich, a zasiedlony przez osadników sprowadzonych z Czech. (MT)

### PODBORCE

Wieś w pow. lwowskim, wojew. lwowskim, położona 15 km na wsch. od Lwowa, a 6,5 km na pn.wsch. od Winnik. Przepisana do parafii rzym.kat. w Winnikach, parafia gr.kat. w miejscu. Przystanek kolejowy na linii Lwów–Tarnopol.

W czasach I Rzeczypospolitej Podborce wchodziły w skład dóbr koronnych. Dzierżawcy zmieniali się tu często i było ich wielu. Najwybitniejszym był Atanazy Miączyński h. Suche Komnaty (przełom XVII/XVIII w.), podskarbi koronny, protoplasta senatorskiej linii rodu. W 2. poł. XIX w. wieś należała do Edwarda Ubysza. (MT)

Hasła opracowali: Barbara Bildziukiewicz-Kozłowska (BBK), Henryka Gubernat (HG), Waclaw Kesselring (WK), Jan Rybotycki (JR), Maria Taszycka (MT).

Redakcja CL składa serdeczne podziękowanie Panu Janowi Rybotyckiemu, redaktorowi naczelnemu bratniego pisma „Biuletyn SPZD”, oraz wszystkim autorom haseł, które zechcieli napisać na temat dzielnic Drohobycza i Borysławia dla naszego kwartalnika.

a także na rok przed wybuchem wojny „Polmin” wypuścił pierwsze oleje samochodowe w Polsce.

W oparciu o artykuł K. Kachlika pt. Przemysł rafineryjny w Zagłębiu Borysławskim w „Wieku Nafty” nr 2/1995 opracował Jan Rybotycki.

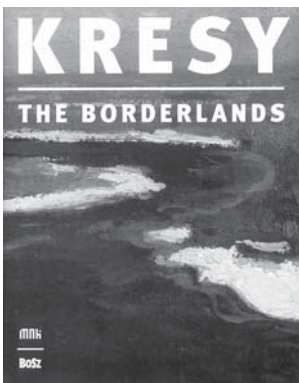
# Książki czasopisma

## Nowe książki

📖 Już parokrotnie zwróciliśmy uwagę, że w ostatnim czasie ukazuje się sporo wielkich – pod względem treści, ale i rozmiarów (i niestety ceny) – książek i albumów, poświęconych naszej wschodniopolskiej (nie tylko wschodniomałopolskiej) historii i kulturze, sztuce, ludziom, przyrodzie. Niedawno wydawnictwo „Bosz” w Olszanicy zaprezentowało **Kresy w sztuce polskiej. Ze zbiorów Muzeum Narodowego w Krakowie** (2009). Autorką pięknego albumu jest **Urszula Kozawska-Zaucha**.

Album zawiera najcenniejsze dzieła z obszaru malarstwa i grafiki. Prace wielu artystów – od przełomu XVIII/XIX wieku do 20-lecia międzywojennego – łączy zachwyt nad przyrodą, historią i kulturą ziem wschodnich. Zaproponowane przez autorkę rozdziały – *Kresy romantyczne*, *Kresy nostalgiczne*, *Kresy młodopolskie*, *Festiwal Huculszczyzny*, *Ku nowej rzeczywistości* – pozwalają na prześledzenie ewolucji motywów i przemian w zainteresowaniu kresową tematyką. Wśród artystów, których dzieła znalazły się w albumie, są najwybitniejsi twórcy polskiej sztuki tych czasów, m.in. Juliusz Kossak, Julian Fałat, Józef Brandt, Józef Chełmoński, Artur Grottger, Leon Wyczółkowski, Jan

Stanisławski, Ferdynand Ruszczyc, Józef Pankiewicz, Teodor Axentowicz, Kazimierz Sichulski. Eseje wprowadzające do poszczególnych rozdziałów pozwalają na bliższe zapoznanie się zarówno z biografiami artystów związanych z Kresami, jak też z historią poszczególnych motywów.



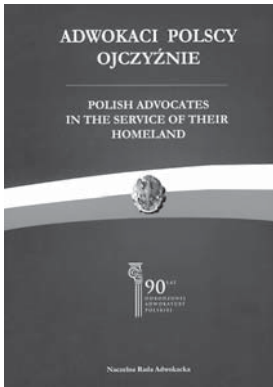
📖 Naczelną Radę Adwokacką obchodziła niedawno 90-lecie swego powstania (1918–2008) i z tej okazji wydała piękny album, zatytułowany **Adwokaci polscy Ojczyźnie** (Warszawa 2008). Zebrano tam ponad 100 życiorysów osób, które w okresie owych 90 lat, a w istocie w czasie całego XX wieku wyróżniły się rozmaitymi zasługami – w odbudowie Polski i życiu publicznym II Rzeczypospolitej, w drugiej wojnie światowej, w działalności przeciw komunizmowi w PRL, w nauce, literaturze, sztuce lub sporcie. Na samym początku przedstawiono kilku adwokatów lub wybitnych ludzi wywodzących się z rodzin adwokackich z wcześniejszych wieków, głównie XVIII i XIX. Z tych postaci najdawniejszą okazuje się Paweł Włodkowicz z Brudzewa (XIV/XV w.), obrońca interesów polskich w sprawach z Krzyżakami.

Album ofiarował nam – nie pierwszy to od Niego dar – mec. Adam Redzik, ponieważ w albumie występuje oczywiście szereg wybitnych i zasłużonych adwokatów związanych ze Lwowem i Małopolską Wschodnią. Już pośród postaci najdawniejszych spotykamy niemal połowę tej grupy:

- Franciszek Smolka (1810–1899), ur. w Kałuszu, ze Lwowem związany działalnością polityczną, marszałek parlamentu wiedeńskiego
- Florian Ziemiałkowski (1817–1900), prezydent Lwowa
- Ignacy Szczęsny Czemeryński (1830–1906), rodem z Żółkwi, adwokat lwowski, wydawca jednego z pierwszych czasopism adwokackich „Prawnik”
- Mikołaj Zyblikiewicz (1823–1887), ur. koło Sambora, studia we Lwowie, marszałek sejmiku krajowego, prezydent Krakowa
- Franciszek Karpiński – patrz niżej.

Wśród adwokatów działających w XX wieku:

- Stanisław Rowiński (1872–1952), ur. w Stanisławowie, działał we Lwowie i Krakowie, był jako jedyny Polak w historii prezesem Międzynarodowego Związku Adwokatów
- Antoni Dziędzielewicz (1854–1935), ur. we Lwowie, tamże działał
- Maurycy Axer (1886–1942), ur. w Przemysłu, działał we Lwowie, ojciec reżysera Erwina Axera;



- Stanisław Kalinowski (1888–1954), rodem ze Lwowa, studia we Lwowie, działał w Buczaczu, po II wojnie w Lublinie
- Ernest Till (1846–1926), ur. w Brzeżanach, profesor UJK, twórca lwowskiej szkoły prawa cywilnego
- Aleksander Doliński (1866–1930), ur. k. Buczacza, profesor prawa na UJK, profesor i rektor WSHZ we Lwowie
- Maurycy Allerhand (1868–1942), ur. w Rzeszowie, profesor UJK
- Wacław Osuchowski (1906–1988), ur. w Tarnopolu, profesor UJK, po II wojnie w Krakowie
- Alfred Ohanowicz (1888–1984), Ormianin ze Lwowa, po II wojnie profesor prawa w Poznaniu
- Mieczysław Honzatko (1903–1945), profesor UJK.

Adwokaci, którzy wyróżnili się szczególnie poza swym zawodem:

- Franciszek Karpiński (1741–1825), ur. w Hołoskowie k. Stanisławowa, dr filozofii Akademii Lwowskiej, adwokat (krótko), wybitny poeta doby oświecenia
- Anzelm Lutwak (1877–1942), ur. w Kołomyi, redaktor pism „Palestra” i „Głos Prawa”, poeta i eseista
- Zygmunt Hofmokl-Ostrowski (1873–1963), ur. w Wiedniu w rodzinie wschodniomałopolskiej, studia we Lwowie, po I i II wojnie w Warszawie
- Henryk Vogelfänger (1904–1990), ur. we Lwowie, studia i działalność zawodowa do II wojny tamże. Występował z K. Wajdą w Wesołej Lwowskiej Fali i trzech filmach – jako Tońko. W czasie II wojny w Czołówce Teatralnej WP na Zachodzie. Po wojnie w Anglii (pod nazwiskiem Barker).

Wśród wybitnych adwokatów występują ponadto szereg osób z Wilna i Wileńszczyzny, Wołynia, a także rodem z Białej Rusi i Ukrainy.

Patrz także w dziale *Sylwetki i Kultura*.

📖 Nigdy za wiele o dziejach polskich miast – wszystkich miast – ale szczególnie o tych, które leżą dziś poza granicami RP. Z około stu miast i miasteczek w Małopolsce Wschodniej monografii historycznej doczekało się zaledwie kilka. Należy do nich w jakimś stopniu Żółkiew, która w ubiegłych latach otrzymała przynajmniej trzy opracowania, jednak raczej typu informacji turystycznej\*.

Istotnym przyczynkiem do dziejów tak ważnej miejscowości jak Żółkiew – leżała wszak na ważnych szlakach handlowych, komunikacyjnych i wojennych – jest obecność tam różnych narodowości, w tym Żydów. Tej właśnie mniejszości narodowej i religijnej poświęcona jest książka **Stefana Gąsiorowskiego *Chrześcijaństwo i Żydzi w Żółkwi w XVII i XVIII wieku***, wydana przez Polską Akademię Umiejętności (Kraków 2001) w serii prac Komisji Historii i Kultury Żydów.

W tytule książki czytamy o chrześcijanach i żydach\*\*, nie należy jednak rozumieć, że odnosi się ona do jednych i drugich w tym samym stopniu. Książka dotyczy społeczności żydowskiej i jej gminy oraz jej relacji z chrześcijańskim otoczeniem, poczynając od panów Żółki (Żółkiewskich, Daniłowiczów, Sobieskich, na koniec, do I rozbioru, Radziwiłłów) oraz chrześcijańskiego mieszczaństwa (głównie polskiego) i duchowieństwa\*\*\*.

Pod względem czasowym książka obejmuje właściwie cały okres znaczenia Żółki. Hetman Stefan Żółkiewski zdecydował się założyć to miasto\*\*\*\* po tragicznym najeździe tatarskim w 1589 r., a kilka lat później uznał je za swoją główną siedzibę. Chwalebna historia miasta zaczyna się więc u progu XVII w., a kończy z I rozbiorem, gdy ta część kraju, wraz ze Lwowem, została zajęta na niemal półtora wieku przez Austriaków.

Żydzi zamieszkiwali w Żółkwi od samego początku, jej właściciel nadał im dogodne warunki życia i działalności. Budowali domy głównie w północnej części miasta, założyli swój cmentarz, browar, ustanowili kałhał. Pierwszą synagogę wzniesli w 1626 r., drugą, monumentalną, w ostatnich latach XVII w. (budowla stoi do dziś).

Liczba i stan zamożności ludności żydowskiej stale wzrastały, warto przytoczyć

dane: w roku 1662 żyło w Żółkwi 1715 osób, w tym 1439 chrześcijan i 276 Żydów, zaś w 1774 r. było w Żółkwi 690 domów, z czego 270 chrześcijańskich i 420 żydowskich.

Dalsze rozdziały książki traktują o współżyciu obu (ściślej – trzech) społeczności wyznaniowych. Nie brakowało oczywiście nieporozumień na tle gospodarczym, jednak nie dochodziło do poważnych konfliktów. Wójtowie żółkiewscy byli z zasady chrześcijanami.

\* P. Kozarski i T. Swat, *Żółkiew* (1997); J.T. Petrus, *Żółkiew i jej kolegiata* (1997); J. Polaczek, *Żółkiew* (2006).

\*\* „żydzi” piszemy małą literą, ponieważ chodzi o wyznanie, a nie narodowość, dla której obowiązuje duża litera.

\*\*\* Mówią o tym rozdziały II–V.

\*\*\*\* w miejscu dotychczasowej wsi Winniki, nadając mu nazwę swojej wsi rodowej w powiecie krasnostawskim.

📖 Ta książka nie może być zaliczona do leopolitanów *sensu stricto*. Dotyczy jednak życia – całkiem prywatnego – wybitnego lwowianina, pisarza Stanisława Lema. Napisał ją jego syn **Tomasz Lem**, a dowcipny tytuł brzmi: ***Awantury na tle powszechnego ciężenia*** (Wydawnictwo Literackie, Kraków 2009).

Autor nie pisze nic o zawodzie swego ojca ani jego pisarstwie, książka jest zbiorem zabawnych przeważnie zdarzeń, sytuacji, spotkań z ludźmi najróżniejszymi – od wybitnych do maluczkich, ale te wszystkie okazje odznaczały się niebanalnością – bo takie były ze swej natury albo takimi się stawały dzięki Stanisławowi Lemowi.

Lwowa w książce o ponad 250 stronach (i wielu ilustracjach) dotyczy – i to nie całkiem – stron siedem. Czytelnik dowiaduje się, że ojcem Lema był Samuel Lem, lwowski laryngolog, że we Lwowie mieli dwie kamienice. Ale akurat o tym możemy się dowiedzieć „z pierwszej ręki”, czytając samego Lema *Wysoki Zamek*.

## Wertując wydawnictwa

➔ Działalność prof. Jerzego Kowalczyka znana jest Czytelnikom przede wszystkim z dwóch kierunków: serii monografii lwowskich gimnazjów (w CL 1/10 znalazł się kolejny wykaz dostępnych opracowań) oraz pisma *dokumentującego przeszłość Lwowa i Kresów pld.wsch.* „Na Bajkach”.

Jest i trzeci kierunek zainteresowań i aktywności Profesora. Są to bogato udokumentowane monografie rodzinne Autora, przede wszystkim **rodu de Barbaro**, którego Profesor jest potomkiem po kądzieli. Tematowi włosko-polskiej rodziny został poświęcony tom o 700 stronach (formatu A4), pełen kopii tekstów w różnych językach i z różnych epok, tablic genealogicznych, fotografii i wyjaśnień autorskich. Kolejne redakcje dzieła są stale uzupełniane i wzbogacane, obecnie ukazało się trzecie wydanie.

Rodzina de Barbaro pochodzi z północnych Włoch i już tam była (i jest) szeroko rozgałęziona. Należała – jak wynika z zachowanych dokumentów, literatury i listów – do patrycjatu weneckiego, a nazwisko to występuje od przełomu XIV/XV wieku (ich



Opis zdjęcia – patrz III s. okładki



przodkowie o innym nazwisku – nawet o parę wieków wcześniej). Jedna z gałęzi żyła zapewne w tej części Italii, która w XIX wieku należała do Austrii (tzw. Południowy Tyrol, po włosku Górna Adyga, oraz prowincja wenecka), stąd więc jeden (a może nie tylko jeden) z de Barbaro, jako oficer austriacki, z początkiem XIX w. został służbowo skierowany do położonej na przeciwległym krańcu monarchii habsburskiej – Galicji. Tak więc zaczęła się polska linia rodu, dość szybko – jak wiele innych – spolonizowana. Znalazłszy się w Galicji-Małopolsce, mężczyźni z rodziny de Barbaro w kolejnych pokoleniach żenili się – co rozumiałe – z Polkami, ich córki wchodziły do polskich rodzin. Miejscem ich życia był przede wszystkim Lwów i inne miejscowości Małopolski Wschodniej, także Kraków.

Na terenie zaboru austriackiego, a szczególnie we Lwowie, było aż do II wojny wiele rodzin o nazwiskach włoskich, przypomnijmy: Bertoni, Martini, Quirini, Zuliani, Mazzucato, Scazighino, Scipio del Campo, w Krakowie Redolfi czy Maurizio i wiele innych. Zapewne większość z nich wywodziła się spod tamtejszego zaboru austriackiego. Obok wojskowych napływały do Galicji rodziny rzemieślnicze lub kupieckie – w poszukiwaniu lepszych dla siebie warunków pracy i bytu. Podobna migracja dotyczyła oczywiście nie tylko Włochów.

Po II wojnie lwowscy de Barbaro musieli Lwów opuścić. Rozproszyli się po nowej Polsce, ale wielu znalazło się w innych krajach Europy i świata. Zawierają małżeństwa z obcokrajowcami, ich potomstwo traci polską tożsamość. Takie polskie losy...

Opracowanie prof. Kowalczyka nie jest „książką do czytania”, nie zostało zresztą wydane drukiem, lecz zreprodukowane kserograficznie i tą drogą dostępne dla kręgów rodziny oraz zainteresowanych historyków. Staje się w ten sposób dokumentem wycinka polskich dziejów, w szczególności polskiego społeczeństwa Lwowa w jego związkach z historią i kulturą alpejskiej części Europy.

➔ W bożonarodzeniowej „Rzeczpospolitej” (XII '09) znalazło się obszerne i serdeczne **wspomnienie Janusza Wasylkowskiego** o Lwowie, lwowiakach – z jego i naszych lat przedwojennych, wojennych, nawet po-

wojennych, zatytułowane *Urodzeni we Lwowie*. Spisała je A. Rybak, wspomagając się – dla wzbogacenia swej wiedzy – paroma książkami, w tym wydawanym przez Wasylkowskiego „Rocznikiem Lwowskim”.

Opowiada więc Wasylkowski o swym dzieciństwie na tle ukochanego Lwowa, o lwowskich autorach, którzy tworzyli we Lwowie, o Lwowie lub bodaj o Lwowie pamiętając. Píše o urodzie Lwowa i jego specyficznej atmosferze, która nie pozwalała o nim zapomnieć nawet po wysiedleniu. Odtwarza obrazy z czasów okupacji i ekspatriacji, wspominając przy tym kolejnych ludzi, tych zwykłych i tych wybitnych, luminarzy lwowskiej kultury, nauki.

I na końcu – o pierwszych powrotach do Lwowa, turystycznych, sentymentalnych. Nie wszyscy się na to wtedy psychicznie odważali, woleli zatrzymać w pamięci dawne obrazy, niż je konfrontować z tragiczną rzeczywistością.

Dziś – dodajmy od siebie – po parudziesięciu latach rzeczywistość ta jest może mniej *egzotyczna*, ale nadal nie ma nic pozytywnego do wniesienia do współczesnego obrazu świata. Szkoda więc tego Lwowa, jego straconego społeczeństwa, jego zniszczonej kultury.

➔ Problematyka Ziem Wschodnich jest niezmienne tematem zainteresowania części krajowych czasopism. Niezawodnym dla nas pismem jest „**Na Placówce**” z podtytułem *niezależne pismo podhalańskie – tylko dla mądrych ludzi* (słusznie!). Jego publikacje często prezentujemy.

W numerze 3/09 znajdujemy doskonałą relację tekstowo-illustracyjną z XX Kongresu Kresowian na Jasnej Górze (lipiec '09) pt. *Kresowianie żądają prawdy*. Mszę św. przed MB Częstochowską odprawił ks. Tadeusz Isakowicz-Zaleski, przybyło około 1000 kresowian, duża grupa górali z Podhala, a także liczni Polacy z Ameryki.

➔ Zapewne niewielu Czytelnikom znane jest **czasopismo „Nowe Państwo”**, związane z „Niezależną Gazetą Polską”. Do niedawna było kwartalnikiem, obecnie stało się miesięcznikiem.

Jego tematyka zawiera się w trzech dziedzinach: Cywilizacja – Historia – Polityka. Czytelnikom interesującym się tą problema-

tyką pismo bardzo polecamy (cena niestety wysoka: ok. 10 zł).

Mamy w rękach cztery numery tego pisma: pierwszy, jeszcze kwartalnik (4/2007) oraz trzy już miesięczniki: 12/09 oraz 1 i 2/10. Szukamy oczywiście artykułów nas szczególnie interesujących. W pierwszym znajdujemy dwa:

- *Prometeusz oddziału drugiego* (autor D. Kaźmierski): o tajnych działaniach antysowieckich dyplomacji II RP w okresie międzywojennym, w kwestii ukraińskiej;
- *Nie sami przeciw sowietom* (autor jw.): omówienie działalności i zbiór zdjęć amerykańskich lotników z Obrony Lwowa 1919–1920.

W numerze 12/09:

- *Lwów pochłonał mnie bez reszty* – wywiad z ks. prof. Józefem Wołczańskim (rozmawia P. Ferenc-Chudy): o pracy księdza historyka, badacza źródeł we Lwowie, autora szeregu cennych książek.

W numerze 1/10:

- *W obronie Kresów Wschodnich* (autor Mirosław Orłowski): o działaniach Komitetu Ziemi Wschodnich przy ZG Stronnictwa Narodowego w czasie II wojny. Podczas wojny we Lwowie był wydawany tygodnik „Słowo Polskie”, zaś po wojnie (1945–46) „Biuletyn Kresowy”;
- *Stonka z „Albatrosa”* (autor P. Lisiewicz): o Ref-Renie.

W numerze 2/10 w artykule *Od skautingu do „Czarnej Jedyki”* (autor B. Kuświk) czytamy m.in. o historii powstania polskiego harcerstwa we Lwowie; ponadto zamieszczono tam zdjęcie: *Harcerze z Kleparowa maszerują ze sztandarem na uroczystość patriotyczną, Lwów 1938*. Zdjęcie to, zapewne całkiem nieznane, „zapożyczamy”.

## LISTY DO REDAKCJI



List ze Świdnicy od p. Mieczysława Pękalskiego, naszego Czytelnika:

*Przeglądając i czytając ostatni kwartalnik CRACOVIA–LEOPOLIS zainteresowałem się zbiorem pamiątek rodzinnych i historycznych, gromadzonych przez Wasze Towarzystwo i Muzeum Niepodległości w Warszawie.*

Ja w swoich skromnych zbiorach, jako Lwowiak, posiadam tableaux profesorów lwowskich, uczestników kursu nauczycielskiego we Lwowie w roku 1934/35. Na odwrocie znajdują się dedykacje uczestników tego kursu – przedstawiam na wykonanym i przesłanym do Was zdjęciu. O ile jesteście zainteresowani tą pamiątką, to jestem do Waszej dyspozycji.

*Adres: Mieczysław Pękalski, 58-100 Świdnica, ul. MC Skłodowskiej 52, tel. 502-655-198*

Proponujemy nawiązanie kontaktu z naszym członkiem, prof. Jerzym Kowalczem, który interesuje się szkolnictwem lwowskim i opracowuje kolejne monografie lwowskich szkół średnich. Wykorzystane materiały składa w Archiwum PAU i PAN w Krakowie. Jemu też przekazujemy Pański list i nadesłane zdjęcia.

## Archiwum

**JESZCZE RAZ O „POGONI”**  
Henryk Zbierzchowski

...To Pogoń gra!  
W tempie i muskułów chrzęście  
Tak drużyna nasza gra!  
Pogoń ma do Wacków szczęście,  
Niechaj żyją Wacki dwa!  
Komu Kuchar sos zgotuje,  
Ten uczuje w gębie kwas.  
Kogo Garbień wygarbuje,  
Spokój ma na dłuższy czas!

Harcerze z Kleparowa maszerują ze sztandarem na uroczystość patriotyczną, Lwów 1938



## Wielkie przeproszenie

Pani Redaktor Jolanta Flach z „Tygodnika Podhalańskiego” wyraziła zgodę – na naszą prośbę – na nieodpłatne przedrukowanie w naszym kwartalniku Jej artykułu napisanego niegdyś i opublikowanego w Jej macierzystym piśmie – o Lwowiance, pani dr Danucie Haczewskiej. Artykuł ten wykorzystaliśmy w CL 1/10, jednak omyłkowo nie zostało wyjaśnione jego pochodzenie, jak to uzgodniliśmy zgodnie z zasadami.

Panią Redaktor oraz Redakcję „Tygodnika Podhalańskiego” serdecznie przepraszamy za to, co się stało. Nasze przeoczenie wynikało z kłopotów, jakie ostatnio przeżywamy – piszemy o tym w *Słowie od Redakcji* w tym numerze. To zresztą nie jedyny błąd, jaki nam się w ostatnim numerze przydarzył.

Jeszcze raz dziękujemy i prosimy o wybaczenie!

**Zdjęcie na s. 31:** widokówka z lub po 1904 r. Trzy place: na pierwszym planie pl. Mariacki z pomnikiem A. Mickiewicza (odstąpionym w 1904 r.). Widoczne dwie kamienice, spalone i wyburzone po r. 1990; po prawej początek pl. Halickiego; w głębi kościół Bernardynów na pl. Bernardyńskim. Kartka ze zbiorów I. i I. Kotłobułatowych, Lwów. Wyd. MCK Kraków.

**Zdjęcie na s. 46:** widokówka sprzed r. 1904. Na pierwszym planie pl. Mariacki z widoczną po prawej stronie figurą Matki Boskiej, stojącą na środku placu (na jej miejscu stanął w 1904 r. pomnik A. Mickiewicza, a figurę ze studzienką przesunięto na skraj Wałów Hetmańskich. Po lewej widoczna perspektywa Wałów Hetmańskich, z Teatrem Wielkim na zakończeniu. Kartka ze zbiorów I. i I. Kotłobułatowych, Lwów. Wyd. MCK Kraków.

Niniejszy numer CRACOVIA-LEOPOLIS został wydany przy pomocy finansowej  
Wydziału Kultury i Dziedzictwa Narodowego Urzędu Miasta Krakowa.

Redakcja składa serdeczne podziękowanie w imieniu Czytelników, Autorów i własnym

---

### Czasopismo Oddziału Krakowskiego Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich

---

Redaguje zespół: Andrzej Chlipalski (redaktor naczelny), Janusz M. Paluch, Krystyna Stafińska.  
Rada Redakcyjna: Andrzej Chlipalski, Ireneusz Kasprzysiak, Barbara Kościk, Romana Machowska,  
Anna Madej, Janusz M. Paluch, Krystyna Stafińska, Barbara Szumska, Danuta Trylska-Siekańska,  
Marta Walczewska

Strona internetowa CL: [www.cracovia-leopolis.pl](http://www.cracovia-leopolis.pl)

Adres redakcji: Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich

31-111 Kraków, ul. Piłsudskiego 27, e-mail: [info@cracovia-leopolis.pl](mailto:info@cracovia-leopolis.pl)

Informacje o kwartalnikach CL: Barbara Szumska, tel. (12) 633 45 23, kom. 695 334 523

Romana Machowska, tel. (12) 637 13 21

---

Skład i łamanie: FALL, Kraków, tel. (12) 413 35 00, 294 15 28, e-mail: [fall@fall.pl](mailto:fall@fall.pl)

Druk: Drukarnia Pijarów, 31-465 Kraków, ul. Dzielskiego 1, tel. (12) 413 76 51

Nakład 720 egz.

---

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania i adiustacji nadesłanych materiałów, a także wprowadzania śródtytułów. Artykułów niezamówionych redakcja nie zwraca.

Copyright by Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, Oddział w Krakowie

---

# Spis treści

Słowo od Redakcji  
APEL DO PRZYJACIÓŁ

Przemyslenia  
Jadwiga Sibiga  
POKOLENIA

ODESZLI

Archiwum

NIE ODDAMY KOŚCIOŁA...

Historia

Andrzej Olszewski  
PROBLEMY PODTRZYMYWANIA  
ŚWIADOMOŚCI NARODOWEJ...

Wspomnienia

Adam Trojanowski  
WSI SPOKOJNA (1)

Teresa Wojciechowska  
OPowieść z ZAKAMARKÓW WSPOMNIENI

Danuta Różycka  
JADWIGA CIECZKIEWICZ  
– PRZYJACIÓŁKA NA ZAWSZE

Archiwum  
NA TOWARZYSKIM SPOTKANIU

Rozmowy  
Janusz M. Paluch  
ROZMOWA Z ADAMEM ŻURAWSKIM

Wiersze

Radosław Nawrocki  
RODZINNA BIBLIOTEKA

Krzysztof Kołtun  
ANIOŁ DWÓCH SKRZYDEŁ

Proza

Jan Parandowski  
SZAMBELAN

1 Tamten Lwów

Adam Krajewski  
LWOWSKIE PRZEDMIEŚCIA (1)

1 Tadeusz Krzyżewski  
„ŚWIRKI” LWOWSKIE

2

Słownik geograficzno-  
historyczny

3

BORYSŁAW ♦ CHLEBOWICE ♦ DROHOBYCZ  
(2, dzielnice) ♦ OŻYDÓW ♦ PODBORCE

4

Sylwetki

PROFESOR ERNEST TILL

PROFESOR WŁADYSŁAW ABRAHAM

5

GWIDO BORUCKI

Z tamtej strony  
UCRAINICA

10

W Krakowie i dalej  
Z KRONIKI ZAŁOBNEJ

16

Kultura ♦ Nauka  
LWOWSKA BITWA POD GRUNWALDEM  
KRONIKA

18

Jan Rybotycki  
CZYM BYŁ POLMIN

15

Książki ♦ Czasopisma  
NOWE KSIĄŻKI  
WERTUJĄC WYDAWNICTWA  
JEST CO CZYTAĆ (41)

22

Listy

28

Archiwum  
Henryk Zbierzchowski  
JESZCZE RAZ O POGONI

28

29

32

36

35

38

38

39

40

40

42

42

43

44

46

27

48

48